Numer 20. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 15 Maja 1927.



ROLA

KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Żarty.

Przed ślubem do niej tak mówił nieśmiele:
Na rękach będę nosił Cię aniele
Proch z nóżek zmiatał moja ty boginko.
A ona na to z cherubina minką:
Ja Tobie znowuż sokole mój drogi
Będę usuwać z życia ciernie głogi
Na ziemi dla Cię stworzę raju eden
Dziś od ich zwierzeń minął roczek jeden.
I jeśli szczęście chcecie widzieć zbliska
Do domowego ich spieszcie ogniska,
Ty coś niedawno szczęścia im zazdrościł
Powiesz, że w raj ich chyba czart zagościł.
Chociaż oboje związani przysięgą,
On dziś jest dla niej tyranem, ciemięgą
Ona dla niego ksantypą, herodem
I czarownicą prosto z piekła rodem.



Ojciec ośli.

Pewien wieśniak jechał na swym ośle wierzchem do miasta. Gdy przejeżdżał mimo szkoły, zaczął osioł ryczeć, podczas gdy gromadka uczni właśnie wychodziła ze szkoły i zaczęli na niego wołać:

— Ty ośli ojcze! dlaczego twój osioł tak krzyczy brzydko?

— Ach moje dzieci! — odpowiedział spokojnie chłop — taż on tak z radości, że tylu braci naraz znajduje.

Policzek.

Pewien żołnierz otrzymał od swego kaprala policzek, więc zapytał go gniewnie:

— Panie kapral! czy to ma być żart, czy na serjo?

— To było na serjo — odpowiada mu kapral.

— A więc to szczęście pańskie — odpowiada żołnierz — bo takiego żartu ja nie rozumię.



Złodziej.

— Dziś w nocy o trzeciej był u nas złodziej.

— Co wziął ze sobą?

— Więcej aniżeli się spodziewał. Moja stara myślała, że to ja i tak go sprała, że poleży miesiąc.



Dobrze zrozumiała.

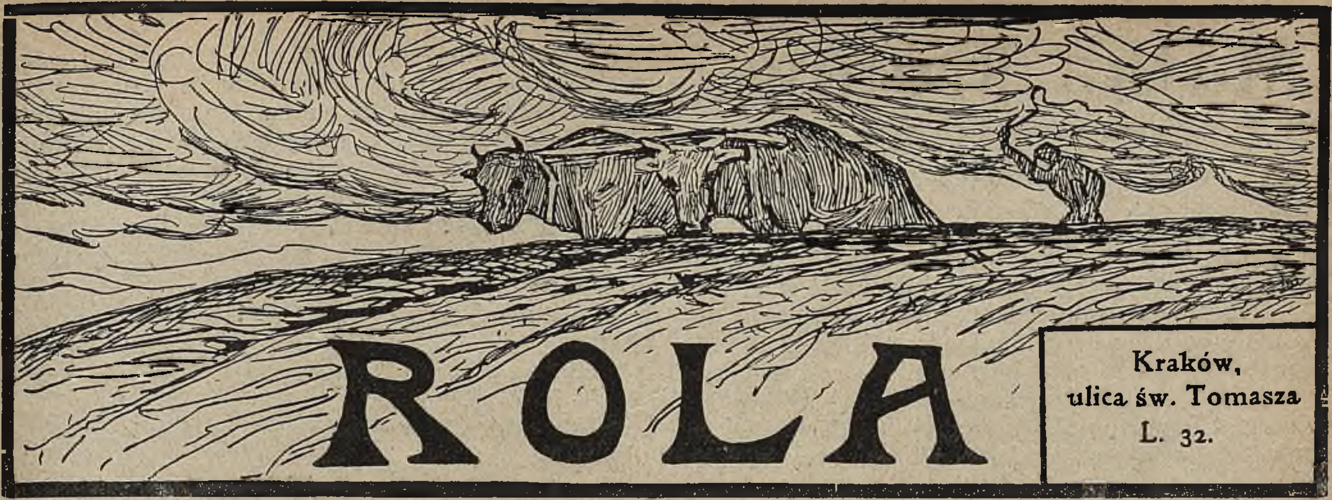
Lekarz: — Jakże tam zdrowie waszego starego?

Kobieta: — Jako tako. Trzy z wielką biedą połknął żywcem, a dwie musiałam przysmażyć.

Lekarz: — Co takiego?

Kobieta: — A no te pijawki, co pan zapisał...

Numer 20. Rok X. Kraków, dnia 15 Maja 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6'50 zł, kwartalnie 3'40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Pracujmy, czytajmy i uczmy się!

Najczęściej praca cicha, niewidzialna przez tłumy, nierozgłaszana przez pochwały, okrzyki i wrzaski, nie strojona w wspaniałe tytuły przynosi najlepsze, najobfitsze i najszlachetniejsze plony. Często cicha praca jest wielkim skarbem narodu. W tych pracach, w których dużo huku i wrzawy, jest mało treści i czynu.

Gdy oracz jedzie w pole, nie obwieszcza o tem światu, ale cicho pracę swą spełnia. Gdy siewca wyjdzie na rolę, nie opowiada o tem wszystkim, iż rzuca ziarno, które mu da bogate korzyści dla siebie i dla drugich, dla biednych i bogatych. Gdy górnik w pocie czoła i mozole rwie bryłę, aż nieraz padnie ofiarą, przywalony kamieniem, nie czyni wrzawy, ale pracuje cicho. Rzemieślnik w warsztacie, uczeń z mozołem naukę zdobywa, uczony mozoli się nad badaniami — lecz praca odbywa się cicho, a przecież plony daje wspaniałe.

Cichą praca, wutrwała, cierpliwa, spokojna, to zdobywanie przyszłości. Im cichsza nasza praca będzie w domach, w rodzinach, wśród sąsiadów, praca nietylko na chleb, ale i dla ojczyzny, praca celem szerzenia oświaty, zgody, miłości i oszczędności, tem owoce jej będą donioślejsze. Cicha praca w rodzinie to zbawienna rosa na pola słońcem przepalone. Cicha praca wśród młodzieży, to skarby przyszłości życia jutrzejszego.

Młodzieży! Pracuj, czytaj dobre gazety i książki pouczające takie, z których najwięcej się nabywa uświadomnienia i umiejętności w różnych zakresach. Czytając dobre pisma, wzbogacimy nasz umysł i serce, pouczymy siebie i drugich o wielu pożytecznych rzeczach. Pisma dobre, to otwarta księga wszelkich wiadomości.

Wyrzućmy takie książki i gazety z domu, co nas za nasze grosze ogłupiają i tumanią. Niema nic przyjemniejszego, jak gdy widzę, czy to wśród rodziny, czy też u jednostki, dobre pismo lub książkę w ręku, i jestem mocno przekonana, że ludzie miłujący czytanie o wiele są inteligentniejsi i wyrozumialsi na wszystko, aniżeli ci, co nigdy książki do ręki nie wezmą, chociażby i mogli i mieli czas na to. Słyszy się nieraz, a najwięcej u młodych: „Nie chcę czytać, co mi przyjdzie z czytania — wolę polecieć gdzieś do kolegi, czy koleżanki a zabawię się!" Tak można się zabawić — ale te zabawy, czy schadzki przynoszą jeno kłopoty. Dlaczego? Bo niema powściągliwości w mowie, bo zamiast zabawić się z drugimi — nie słyszy się nic, jak jeno obmowę i oczernienia. A przecież obmową grzeszymy przeciw miłości: obmową popełniamy gwałt na sprawiedliwości. Zabijamy dwie najpiękniejsze i najważniejsze cnoty. A krzywda to ciężka, do naprawienia trudna. Bo cóż droższego nad dobre imię? Wszak ludzie dla jego utrzymania lub ratowania narażają majątki, zdrowie, a nawet i życie. A tu czasem jedno słowo lub jeden gest wystarczy, aby je do szczętu zrujnować. Powiedzieć słowo na szkodę bliźniego, a wnet ją plotka jak echo powiększy sto razy. Słówko ptaszkiem uleci, a parą wołów nie ściągnie go napowrót. Obmowa to jest grad, który w jednej godzinie niweczy całoroczny mozół gospodarza. Oczernienie, to kamień rzucony w spokojny staw wody, który w jedno upada miejsce, ale coraz szersze tworzy kręgi i nareszcie cały staw poruszy. Obmową zabijamy reputacje bliźniego, krzywdzimy go — a jakże naprawimy? Skazę honoru, dobrego imienia, zmazać najtrudniej. Rdza, co się chwyta tego metalu, na zawsze zostanie. Odwołać niełatwo, a chociażby i odwołał, któż w to uwierzy? Powie: „Tam zawsze coś było". Św. Paweł stawia obmowcę i złodzieja w jednej linji, jeden kradnie sławę, drugi własność bliźniego. A przecież sława jest cenniejszą od majątku.

Najlepiej przestańmy obmawiać. Lepiej zrobimy, gdy otworzymy dobrą gazetę, a ona nam powie, co się w świecie dzieje — albo otwórzmy księgę, a dowiemy się, jak w Polsce bywało.

Maryśka z Kamionki.

Matka królów.

Powieść historyczna z XV w.

II. Najazd.

Wesoło ciągnęła Sonka z wyborem dworu swojego na Ruś, gdzie się z królem spotkać miała. Towarzyszyły jej najulubieńsze sługi komornicy najzaufańsi, ci, do których była nawykłą, bo jej duszą i sercem oddani byli. Stara Femka nie opuszczała jej nigdy, bo bez niej się obejść nie mogła. Kasia i Elża Szczukowskie swą wesołością, szczebiotaniem, rozmową, znoszeniem wieści, które jednostajne życie ożywiały, miały się też stać niezbędnemi.

Komornikom przewodniczył Hincza z Rogowa, który najpoufalszym i najśmielszym był, a Sonce najmilszym, bo wiedziała, iż wierniejszego nad niego nie miała. Piotr Kurowski, Wawrzyn Zaręba, Jan Kraska, Jaszko z Koniecpola, dwu Szczekocińskich, ci wszyscy, przeciw którym Strasz skarżył, znajdowali się w królowej orszaku.

Nie postrzeżono się nawet, gdy cel pdróży, Medyka, była już bardzo blizko.

Nazajutrz stanąć już miała Sonka w Medyce. Nocleg przypadał w wiosce, która nie miała dworu, tylko wielką gospodę, a z tej wyrzucono dla królowej co żyło i parę chat sąsiednich przygotowano także dla dworu.

Hincza, który wszędzie rej wodził, pierwszy skoczył gospodę opatrzeć, nie wydała mu się piękną, lecz innej nie było.

Stoły znaleźli już pozastawiane i zapach pieczonych mięs ich dolatywał, Hincza zbierał się i tu marszałkować, gdy do konia swego wybiegłszy, bo szlachcic o nim zawsze musiał, jak o sobie, pamiętać, usłyszał z boku sykanie.

Odwrócił się, lecz wśród ciemności nikogo widać nie było. Sądził, że ono nie do niego się stosuje i popuściwszy popręg, miał konia prowadzić do żłobu, gdy syk ów natrętny bliżej jeszcze dał mu się słyszeć, a przy nim jakby imię jego, głosem znajomym, choć na razie, do rozpoznania trudnym, wymówione żywo.

Z za zrębu gospody ręka dała mu znak, wpadł więc między dwie ściany, w ciemny kąt, i nie wiedział, co dalej miał począć, gdy go ktoś ujął za rękę i w głąb tego zaułka pociągnął.

Hincza sam już nie wiedział, co się z nim działo. Od ulicy i smolnych beczek jedna ze ścian słabym była oświecona odblaskiem, więc, żywy a niecierpliwy, tego, który go prowadził chwyciwszy ku światłu, zajrzał mu w oczy i krzyknął:

— Kormaniec! a ty tu skąd?

— Tst! tst! — odparł dyszący niespokojnie człek i oglądając się do koła, jeszcze dalej w głąb po śmieciach i brudach go prowadził.

Hinczę niewiedzieć czego strach jakiś ogarnął.

— Stój bo, — rzekł — mów, skądżeś się tu wziął? czego chcesz?

Kormaniec ten należał do gońców królewskich (kursorów), których nieraz z pismami wyprawiano, a był Hinczy dobrze znany z tego, że mu on życie ocalił, gdy go w Krakowie, zasadziwszy siłę nań, opadli zbóje na grosz łakomi.

Zjawienie się Kormańca nie byłoby dziwnem, gdyby nie to, że się tak sobą tail. Na gońcu, chociaż silnym i nawykłym do podróży, a wytrzymałym widać było znużenie niezmierne.

Wyprowadziwszy zaułkiem Hinczę za gospodę, nie mówiąc nic, nie odpowiedziawszy na zapytanie, Rusin na kawałku pustym pod płotem pokazał mu tylko leżącą szkapę, ze łbem zadartym, z bokami wyciągniętemi, która przed chwilą może padła, aby już nie powstać.

W prosty ten sposób Kormaniec powiedział Hinczy, iż tak pędził śpieszno; aż mu się koń pod płotem wyciągnął.

— Sława Bogu — rzekł tchnąwszy — iż choć nie darmo.

Hincza patrzył zdziwiony.

— Król cię posłał?

Kormaniec głową potrząsł i uderzył się w piersi dłonią szeroką.

— Ja się sam posłałem — zawołał — aby wam, a może jeszcze komu życie ocalić.

Zbladł Hincza i słowa nie mógł przemówić.

— Wy mnie z rąk zbójców wyrwali — dodał Rusin — Bóg dał, że się wypłacę.

Ciężko mu mówić było, ocierał pot z czoła i stękał.

— Słuchajta — dodał. Król w Horodle z wielkim księciem Witoldem się zjechał. Poszli z sobą gadać, aby ich ludzie nie podsłuchali, między drzewa, co za Gródkiem nad wodą stoją, a ja tam leżałem w krzakach... Siedli o trzy kroki odemnie, a gdy mówić z sobą zaczęli, już mi się ruszyć nie było można. A wiecie co mówili z sobą? — dodał — oto, że królowa pana naszego z wami zdradza, że was wszystkich trzeba do ciemnicy i pod miecz dać. Nie pytaj, jakem siadł i zbiegł i jak wrócę, nikomu nie mów nic, siebie ratuj! Konia wyprowadź i uchodź!

Stał słuchając Hincza, oniemiały ze zdziwienia i strachu.

— Bóg świadek —zawołał — to potwarz, to kłam bezczelny... Królowa niewinna, my czyści!

— Ale gniew króla i Witolda! — przerwał Kormaniec. — Pytać nie będą... dacie gardło... głodem zmorzą... Uchodź...

— Wszystkich nas obwiniał książę? — zapytał Hincza.

— Słyszałem wasze imię pierwsze... Jaszka z Koniecpola i Piotrasza z Dobkiem... Mówił i o innych, ale na was i na nich najwięcej nastawał... — że panny po nocach pilnowały.

— To ten łotr Strasz zemścił się na nas, zdrajca niepoczciwy! — krzyknął Hincza. — Na nas, niechby się mścił, pies ten wściekły, ale królowej nie darował!

Kormaniec zamruczał.

— Królowę Witold chce zabrać na Litwę.

Obie ręce ścisnęły się Hinczy, porwał się potem za włosy, rozpaczał, kręcąc się w koło jak obłąkany, a Rusin za rękawy go chwytał i jedno prawił.

— Uchodź! ono Litwinów nie widać.

— Sam jeden nie mogę — krzyknął — wyrywając mu się Hincza — albo zginę z drugimi, lub choć tych, na których srożej się odgrażają, ocalę.

Posunął się już parę kroków, a potem, jakby coś sobie przypomniał, zawrócił się, Kormańca pochwycił za szyję i całując, zawołał:

— Bóg ci to zapłaci!!

— Uciekajże — powtórzył Rusin — bo ja przepadnę i wy się nie uratujecie... Gdy zatętni na gościńcu, nie pora będzie... Ino ich nie widać, Litwinów.

Hincza oprzytomniawszy, skoczył zaułkiem do gospody, z której, jak na przekorę, dochodziły go śmiechy kobiet i głośne żarty komorników. Serce mu

się ścisnęło, jakby pęknąć miało... Jak tu było rzucić pośród to wesele, takim piorunem?

Stanął w progu gospody, odpadła go odwaga, w głowie się splątało. Kormaniec, który biegł za nim, mruczał głosem drżącym:

— Bierz konia i uchodź!

Z za ściany słyszał wesoły głos królowej, która gromiła swawolę dziewcząt i Wawrzyna, który się ze śmiechu dusił, a z szerokich sieni dolatywały żarty czeladzi i śpiewki dziewcząt służebnych, z któremi się gzili.

Niepewien siebie, na pół nieprzytomny, Hincza skoczył naprzód do konia i stajennemu krzyknął:

— Nie zdejmuj siodła, ja jadę zaraz!

Potem wpadł blady do pierwszej izby, w której nie było nikogo, oprócz Janka z Koniecpola i dwu Szczekocińskich.

Ci, spojrzawszy na niego, z twarzy mu przeczytali nieszczęście jakieś, wchodząc jak pijany, potknął się na progu.

Wesołym towarzyszom, którzy w Hinczy jakby wodzą swego widzieli, śmiech zamarł na ustach. Domyślali się, że porywczy zawsze musiał się zadrzeć o coś z wójtem albo sołtysem i może go ubił... Nic innego przypuścić nie mogli.

— Coś ty zrobił? — zawołał, przyskakując Jaszko z Koniecpola.

Odurzony Hincza jeszcze pod naciskiem tego, co mu Kormaniec powiedział, krzyknął głośno:

— Jam niewinny! Bóg mnie skarz! jam niewinny!

Wszyscy go obstąpili, on postrzegł się, że wygadał się i zdradził. Zdawało mu się, że może najlepszem było pójść o wszystkiem oznajmić królowej... ale, nuż Kormaniec się przesłyszał? po co ją było straszyć? Jakie jej mogło grozić niebezpieczeństwo? Hincza jednego się lękał, aby w pierwszym popędzie gniewu, ich, jako mniemanych winowajców nie pozamęczano.

Zamiast więc iść dalej, zwrócił się do progu nazad, dając znak Jaszkowi i towarzyszom, aby szli za nim. Wszyscy razem wybiegli do sieni. Hincza nic nie mówiąc, prowadził ich do szopy, w której konie stały.

Sam zaraz przystąpił do swojego wierzchowca, okiełznał go, popręgi podciągnął i wyprowadził od żłobu.

— Co się to ma znaczyć? — zawołał Jaszko z Koniecpola. — Mów!

— Co? — rzekł półgłosem Hincza. Oto że i wy powinniście konie brać i ze mną w świat ruszyć, nie chcecie-li, aby was na męki brano.

Zbliżył się do Jaszka.

— Królowę Witold oskarżył, że niewierną się stała, a nas, że jesteśmy ulubieńcami królowej. Już zą nami gonią, aby nas do więzienia rzucić...

Osłupieli słuchający. Dwaj Szczekocińscy, chłopcy pieszczone i choć im na męstwie nie zbywałoby do boju, trwożące się ciemnicą, kaźnią i sądem, porwali się, nie pytając więcej do swoich koni.

Jaszko z Kniecpola stał uszom nie wierząc.

— Oszalałeś? skądże ci to? — zapytał.

— Nie pytaj — ofuknął Hincza, który już strzemienia szukał po ciemku, i zabierał się konia dosiadać. —Chcesz wierzyć, dobrze... nie, to nie. Miłe ci życie i zdrowie, uciekaj... wolisz się zdać na łaskę siepaczy, — wola twoja. Ja bodaj na Węgry, do Czech, do djabła ujdę, aby mi stawów nie wyciągano. Królowa okaże swą niewinność, naówczas będę li żyw, powrócę.

To mówiąc i nie mając już ochoty do rozprawiania, Hincza siodła dopadłszy, konia ściągnął batem, i tylnemi drzwiami z gospody się wydobył.

Jaszko z Koniecpola jeszcze myślał czy uchodzić, czy zostać, gdy oba Szczekocińscy już konie swe wyprowadziwszy, tą samą drogą co Hincza, na tyły znikli.

Naostatek oprzytomniał i ostatni z nich, westchnął. Co miał robić? Poszedł po swoją szkapę smutny i nie śpiesząc się do zbytku, zakrzątnął się około siodła.

W tejże chwili usłyszał w rynku tentent koni i krzyki głośne, dopytywania o gospodę królowej.

Po mowie rusińskiej domyśliwszy się ludzi Witoldowych, Jaszko konia już wprost za grzywę pochwyciwszy, co prędzej z nieokiełzanym wybiegł precz...

W gospodzie panowała jeszcze wesołość, i dziewczęta królowej, posłyszawszy wrzawę na targowicy, powychylały się z okien, śmiejąc się, a nie domniemywając wcale, aby im jakie niebezpieczeństwo grozić mogło, gdy już ludzie litewscy dokoła poczęli otaczać dom cały.

Reszta komorników i służby królowej wybiegła patrzeć, co się tam takiego stało, a tuż straż Witoldowa, kogo tylko zoczyła, natychmiast chwytać zaczęła. Wszyscy byli prawie bezbronni, nikomu na myśl nie przyszło, żeby się napaści jakiej trzeba opierać było.

Królowę, która tylko co siadła, aby spocząć, obudził krzyk... Postrzegła, że cały jej męzki dwór już był w sieniach, a tam z krzykiem i borykaniem się sługi jej wiązano.

Dziewczęta sądząc, że napad to tatarski, biegły przerażone.

Jedna Femka śmielsza rzuciła się naprzeciwko napastnikom i poznała w nich sługi Witolda, a na czele Siemiona Herbuna, Połoczanina, którego znała dobrze. Nie mogła pojąć ani co oni tu robili, ani skąd się wzięli. Z załamanemi rękoma wpadła na Rusina...

— Siemion! — krzyknęła — coś ty do rozbójników przystał... To gospoda królowej...

Spojrzał na nią z góry Rusin, i ręką wskazał, aby precz szła, ale Femka nie ustępowała.

— Siemion, królowa!

— A co mnie wasza królowa — odparł sługa Witolda — milcz, stara wiedźmo... Gdzie dziewki wasze?

Femka ,nie mogąc już mówić, patrzała jak Wawrzyna Zarębę, Pietraszka Kurowskiego, Kraskę wiązano, a krzyczano, dopominając się Hinczy...

Siemion potem jak stał zbrojny, wpadł zuchwale do izby królowej, szukając Kaśki i Elży, o które się dopominał głośno.

Słysząc imiona swe wykrzykiwane, wbiegły z płaczem, tuląc się pod skrzydła królowej, która blada od gniewu wystąpiła naprzeciwko Siemiona. Napad ten był dla niej nie zrozumiałym.

— Co to ma znaczyć? — zawołała z powagą królewską — jak śmiesz gwałt taki czynić pod moim bokiem?

Słów jej nie stawało. Siemion wyprostowany stał przed nią, nawet się nie pokłoniwszy.

— Rozkaz mam króla Jagiełły i pana mego, wielkiego kniazia, abym komorników waszych i dwie dziewki Szczukowskie uwięził. Siłą, mocą ,a wziąć je muszę!

Rozdzierające krzyki dały się słyszeć z drugiej izby... Sonka drżąca, nieporuszona, blada, szukała oczyma Femki, dworu swojego rozproszonego... Nikogo nie było. Z sieni tylko dochodziły wrzaski, wśród

których rozpoznawała głosy Wawrzyna, Pietrasza, Kraski, krępowanych i mordowanych przez Litwinów.

Użycie tych ludzi naprowadzało ją na myśl, że Witold był sprawcą tego i że na nią wymierzoną była ta napaść. Z dumą pańską spojrzała na Siemiona szydersko.

— Zapewne przyszedłeś i mnie wziąć w niewolę — zawołała — no, to zabieraj i mnie z nimi.

Siemion potrząsnął głową.

— Szczukowskie wydajcie — dodał. — Komorników kazano mi oddać do więzienia i pod straż.

Rozmowa dłuższa z siepaczem zdała się królowej ubliżającą, choć drżała z oburzenia i gniewu, choć płacz ją dusił, zwróciła się z pogardą do drugiej izby, nie mówiąc słowa i dopiero w progu krzyknęła na Femkę...

Tymczasem Kaśka i Elża widząc, że ich bronić niema komu, spłoszone, nieprzytomne, pobiegły do okna i skoczyły niem na podwórze. Tu ludzie Siemiona je porwali.

Wszystko to odbyło się tak gwałtownie i szybko, że we wsi, w której był kościół, parafja i ludność znaczna, w początku wieśniacy ulękli się tatarów... Po chwili dopiero opamiętali się, że garść była nieznaczna, a wybiegający ksiądz dowiedział się, iż poczet ten z rozkazu króla był wysłany. Lud gromadził się ciekawy, wieści obiegały niedorzeczne, trwoga szerzyła się nie do opisania.

Królowa osłabiona padła na posłanie, trzymając Femkę za rękę i płakać zaczęła rzewnie, zanosząc się i jęcząc.

Litwini tymczasem, jeńcom nakazawszy milczenie, trwali jeszcze przy gospodzie stojąc i szukając po kątach tych, których im nie dostawało.

Nastąpiła cisza dziwna, groźna jakaś, przerwana płaczem kobiet... Noc zapadła od dawna była... a ku wschodowi blady brzask zorzy porannej już się zaczynał okazywać, gdy na tej samej drodze, którą nadciągnęli Litwini... dał się słyszeć tentent koni głuchy, daleki naprzód, potem coraz wyraźniejszy... oddział jakiś nadbiegł znowu.

Siemion, który na czatach stał, obawiając się napaści wnet na swoich krzyknął...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Grajek.

(Podanie z gór).

W prześlicznej okolicy Skolego, spiętrzonej górami i skałami Karpat, żył sobie biedny grajek, góralczyk. Od wioski do wioski chodził ze swymi skrzypkami, tu grał na weselu, tam na odpuście, a nigdzie nie skąpiono mu grosza, bo grał raźno a ochoczo. Pewnego razu wracał nocą wąską górską ścieżyną, gdy w tem z rozpadliny skały wysunęła się postać jakiegoś człowieka i zastąpiła mu drogę.

— A gdzież to wam droga? — zapytał nieznajomy grajka.

— A do domu — odpowiedział.

— Wstąpcież tu do nas i zagrajcie nam do tańca — mówił dalej nieznajomy — dostaniecie za to dwa kapelusze złota.

Z początku wahał się biedny góralczyk, ale znęciła go taka obietnica i poszedł.

Nieznajomy prowadził go przez wyżłobione w skale chodniki, niby kręte kurytarze, aż wreszcie stanęli w obszernej pieczarze, niby w sali ogromnej. Pusto było dookoła, ale zaledwie smyczkiem po strunach pociągnął, aż tu zapełnia się sala tańczącymi parami, które nie wiedzieć skąd przychodziły, a po każdym tańcu nie wiedzieć gdzie zapadały. Grał grajek niestrudzenie przez całą noc, a gdy brzask ranny zaświtał, przyniósł mu ten sam nieznajomy, który go tu przyprowadził, dwa kapelusze złota i rzekł:

— Masz tu nagrodę, którą ci obiecałem, ale strzeż się i pamiętaj człowiecze, byś nikomu nie wyjawił, skąd masz tyle złota, chybaby ci groziło niebezpieczeństwo. Wtedy przyjdź tu, a będziesz ocalony.

Uradowany góralczk podziękował nieznajomemu, zabrał swoje skrzypki i poszedł.

Po drodze zakupuje różne piękne rzeczy dla żony i dzieci, tej koraliki, temu fujareczkę i pas z brzęczącemi kółeczkami, a za wszystko płaci szczerozłotymi dukatami. Dziwi się żona i dzieci, lecz choć się bardzo dopytują, skąd nabrał tyle złota — góralczyk milczy jak skała. Wkrótce wybudował sobie domostwo obszerne, zakupił bydła pięknego, a sąsiedzi wyjść nie mogą z podziwu, skąd u biednego grajka dostatek się taki bierze. Nic jednak nie pomagają badania sąsiadów, grajek jak milczał, tak milczy. Sprawa ta wydała się wszystkim nieczystą.

— Może — powiadają — kogo obrabował? A może zamordował?

Wkrótce zjawił się sam wójt w chacie grajka, pyta i bada, prosi i grozi, ale daremnie. Zniecierpliwiony wójt udał się wreszcie do miasta i całą sprawę opowiada przed sądem.

— Pewnie gdzieś zrabował, a może zamordował kogoś — powiada — bo nawet żonie własnej wyjawić nie chce, skąd wziął tyle złota.

Ściągnęli więc grajka przed sąd do miasta, ale i tu zrazu nic mówić nie chce. Wtrącili go do ciemnego lochu, morzą głodem, nic nie pomaga. Wreszcie zapadł wyrok śmierci, na drugi dzień mają go wieszać.

— Wyjawię wszystko — zawołał teraz góralczyk i opowiedział przed sądem całą sprawę. Ale sędziowie śmieją się z opowiadania, żaden mu nie wierzy.

— Kiedy mi nie wierzycie — zawołał grajek zrozpaczony — to chodźcie ze mną, a martwe skrzypki moje niech mi świadkiem będą.

Poszli ciekawi sędziowie za grajkiem. Zaprowadził ich na wązką ścieżkę między górmi, przeszli ciemne chodniki w skale, aż wreszcie stanęli w ogromnej pieczarze, niby wielkiej sali. Grajek skrzypce wydobył smyczkiem pociągnął, aż tu zjawiają się pary tańczące nie wiedzieć skąd, a po tańcu znikają nie wiedzieć gdzie.

Uwierzyli teraz sędziowie biednemu góralczykowi i już wychodzić mają, gdy w tem zjawia się przed niemi ten sam nieznajomy co to wtedy grajka do pieczary sprowadził i mówi:

— Masz tu grajku jeszcze dwa kapelusze złota, boś dotrzymał coś mi przyrzekł i nie zdradził nas niepotrzebnie.

ULICA W POMPEI.



Jak wiadomo, całe wnętrze ziemi jest roztopioną masą ognistą, która bądźto stale, bądź od czasu do czasu wydobywa się przez otwory wulkanów, rozlewając się szeroko po całej okolicy. Często taki wulkan jest przez czas dłuższy nieczynny, wskutek czego ludzie nabierają do niego zaufania i budują swe siedziby w jego pobliżu. Aż nagle wulkan taki wybucha i zalewa lawą siedziby ludzkie. Tak się stało z dwoma miastami włoskiemi Herkulanum i Pompei, które wybuchający wulkan Wezuwiusz pokrył grubą warstwą lawy. Z czasem ludzie o istnieniu tych miast zapomnieli. Aż dopiero przed niewielu laty archeologowie natrafili na ich ślad; zaczęto więc kopać i odkopano je niemal w całości. Jedną z ulic w Pompeji przedstawia właśnie powyżej zamieszczony obrazek.

O potrzebie radości.

Ziścił się sen, ziściły się najwspanialsze, promienne marzenia, sen polski, cudny, jedyny! Zmartwychwstanie Ojczyzny! Powstała w naszych niezdziwionych oczach Polska, urosła w potężne państwo. Tyle cudu i dziwu bije od jej wielkości i majestatu, a nikt z nas nie dziwi się, i nie raduje tem szczęściem. Jakże z nas każdy tak prędko zapomniał o tym ziszczonym śnie, błogosławionym przez tych, którzy w sercach noszą jeszcze źródło miłości, a duchem i czynami chcą Ojczyznę wynieść ponad setki krajów, w sfery planetarne, do Boga!

Kto z nas przed laty kilkunastu pomyślał o wolności, miał łzy w oczach. Kto z nas miał tyle wiary, że Polska będzie w swych granicach obok dawnych żarłocznych potęg Rosji, Niemiec i lilipuciej Austrji! Dławiłby się ze wzruszenia i nie wierzyłby, gdyby był przeczuł tę chwilę. Wiemy, jak było nam źle w niewoli. Ileż to jęków i modlitw kornych płynęło z przepełnionych świątyń ludem do Boga — a dziś, gdy dyszymy wolnością, zapomniało się o tem, że jesteśmy wolni, równi, niepojęci dla obcych, zapomniało się o tem dobrodziejstwie na ziemi. Zdaje się nam teraz, że wpadliśmy do gorszej niewoli, bo polskiej, że nam źle jest i gorzej jeszcze będzie. Zatraciliśmy w sobie wiarę lepszej nadziei w jutro, i trudno nam się pogodzić z tą sytuacją.

Istnieje Polska, Bogu dzięki, parę lat przykrych dla niej i bolesnych. Istnieje śliczna, pełna radości życia, wesoła wolnością, o jasnem obliczu zmartwychwstałego Chrystusa, i idzie w świat inny, nowy, dziwny, szerszy jak dawnemi laty i ciekawszy. Idzie w zagadkę wieczności bez lęku i trwogi, bez pesymizmu, którym jesteśmy upici — świeża, młoda, bez nas do słońca! Gardzi pokoleniem współczesnem, patrzy pełną pogardy na swych synów, którzy ze swych domów uczynili domy grzechu, waśni i nienawiści bratniej. Nie kocha ich, jeśli nie darzą jej miłością i troską. Nikt z synów, do jej otwartych ramion nie zbliża się, bo cóż uczynił dla niej, jakie dzieła ma poza sobą— nie może podejść, bo wstyd zapłonął na jego obliczu.

Ojczyzna żyje! Czy cieszycie się jej powstaniem synowie? Czy zapłonęliście radością żywiołową, by uczcić jej zmartwychwstanie? Ona sama powstała.

Jeśli walczyło się za nią na wszystkich frontach, nie był to wysiłek całego narodu jako jednolitego państwa. W szeregach obcych armij ginęło tysiące Polaków za wolność naszą i obcą, i tem się dawało znać światu, że żyje naród polski i pragnie wolności.

Polskę zawdzięczamy tylko wielkim wypadkom i pomocy Bożej. Wojna zrodziła Polskę. Wypadki dziejowe wysunęły sprawę Polski na pierwszy plan tak, że stworzenie stawało się nieodzowne — to też niechaj błogosławiona będzie ta wojna, mimo przelanej krwi najlepszych synów, mimo miljona opuszczonych, wylewających łzy serdeczne po najdroższych. Błogosławione niechaj będą cienie poległych na polach bitew Rosjan, Niemców, Austrjaków i kolorowych narodów, bo ci także padali za naszą Ojczyznę miłą.

Jesteśmy dla niej obojętni i bez radości twórczej, którąby nas porwała do czynów potężnych. Nikt z nas nie upił się szczęściem żywota Ojczyzny i pieśnią płynącą z serca nie wyśpiewał nowego życia, boskiej wiosny Ojczyzny, nie uczcił jej radością! W ciężkiem życiu znajdą się chwile radości; to obowiązek nasz, aby w młodzież wpajać radość życia, nowe idee, wiarę w przyszłość, ewangelję dobra, miłość narodu własnego i całej ludzkości.

Otwórzcie oczy, uszy, serca wasze na wejście Ojczyzny świętej, wymarzonej w niewoli, której jeszcze nie macie w sobie, nie szanujecie jej i nie kochacie prawdziwą miłością! Niech z waszych otwartych dusz płynie na całą Polskę światło najświętszej radości! Czcijmy zmartwychwstałą słonecznem zachwyceniem! Radujmy się szczęściem prawdziwem, tęczowo, promiennie, dziś, kiedy nam dano oglądać ją żywą w pierwsze dni wiosny i słońca nowego, które ją powiedzie w wierzeje przyszłości! Oddajmy jej szlachetne myśli, czyńmy cuda, otoczmy ją pierścieniem marmurów, bronzu, tęcz i gwiazd, niech z naszych starych kościołów popłyną hymny dziękczynne do Boga za powrócone jej życie!

Jeszcześmy tego aktu radości nie uczynili Bogu i hołdu nie złożyli Ojczyźnie. Nie padliśmy ze wzruszenia przy objawieniu się Polski żywej — tylko skuci w życiowy krąg interesów, waśni, grzechu i podłości czynów, pogrzebali w sercach ten cud radości.

O religję radości módlcie się i twórzcie ją dla wszystkich!

Poeci śpią na swych lutniach. Nie mają orlich lotów w Królestwo błękitów i słońca. Zajęci sprawami przyziemnemi, zasłuchani w zamierające dźwięki starych pieśni śród powalonych gontyn, próchniejących w czasie. Nie czas na jeremjady! Nowe życie przed wami się otwiera!

Poeci do szeregów! Oto stanęliście twarzą w twarz z bogiem waszej tęsknoty: — Ojczyzną! Czy ulękliście się tego zjawiska tęsknot waszych? Śpiewajcie w natchnieniu polskie życie, wzruszajcie wszystkie serca hymnami, w których lśnić będą myśli przyszłości! Odródźcie mowę polską co płacze i błyska! Lutnie w ręce i przed narodem iść naprzód, wieść go w Królestwo zórz, grać hymny życia i radości, by ocknął się z smutku, z tych myśli i rozjaśnił oblicze! Niech zwróci się do słońca, bo wnet zapomni mu świecić! Na drogę piękna i prawdy wieść naród, uczcie go miłości i radości życia! Poeci, na was czas!

Czas na wesele radości! czas na te gody! Precz z waśniami i pesymizmami! Weseli szczęściem radości, śpiewajmy o naszej ziemi! Z wiarą pierwszych chrześcijan, wielcy wolnością — idźmy na zdobycie świata!

Franciszek Lipiński.

Ubezpieczenie od ognia.

Na liczne zapytania naszych Czytelników, jak się obecnie przedstawia sprawa ubezpieczeń od ognia, wyjaśniamy:

Przymus ubezpieczenia od szkód przez pożar zrządzonych wprowadzony ustawą z 23. VI. 1921, Dz. U. R. P. Nr. 64, poz. 395, tudzież rozporządzeniem Prezydenta Rzplitej z 10. X. 1924, Dz. U. R. P. Nr. 92, poz. 862, rozciąga się na wszystkie nieruchomości, przyczem został ustanowiony w Małopolsce i b. Zaborze rosyjskim — obowiązek ubezpieczenia budynków (z wyjątkiem budowli, służących do celów fabrycznych i przemysłowych) w Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych (zwanej w skróceniu: „PDUW") w $^2/_3$ częściach tej sumy, na jaką PDUW budynki te oszacowała.

Do przedsiębiorstw fabrycznych i przemysłowych, które jak wspomnieliśmy, obowiązkowi ubezpieczenia w PDUW nie podlegają, zaliczyć należy zakłady rolno-przemysłowe jak: gorzelnie, browary, młyny itp.

Przymus ubezpieczeniowy nie dotyczy wszelkich przedmiotów ruchomych, a więc: ruchomości domowych, urządzeń, towarów, inwentarzy żywych i martwych, ziemiopłodów itd., które to przedmioty na równi z wymienionemi wyżej przedsiębiorstwami fabrycznemi i przemysłowemi wolno właścicielowi ubezpieczyć w pełnej ich wartości w dowolnie przez siebie obranym Zakładzie ubezpieczeń — bez żadnych ograniczeń.

Pozostała $^1/_3$ część oszacowania budynków podlegających przymusowi ubezpieczeniowemu (mieszkalnych i gospodarczych) jest z ustawy wolną od obowiązkowego ubezpieczenia w PDUW, wobec czego właściciel może tę $^1/_3$ część oszacowania swego budynku mieszkalnego względnie gospodarczego ubezpieczyć również poza PDUW w innym, dowolnym Zakładzie ubezpieczeń.

Dla Czytelników ze Śląska Cieszyńskiego i b. Zaboru pruskiego dodajemy, że ubezpieczenie od ognia budynków w PDUW nie obowiązuje zupełnie w Województwie Śląskiem, Poznańskiem i Pomorskiem, gdzie przeto każdy może ubezpieczyć od szkód ogniowych swoje mienie, ruchome czy nieruchome, w dowolnie obranym Zakładzie ubezpieczeń i ma w tym względzie całkowitą swobodę — tak, jak to dawniej było w b. Zaborze austrjackim.



Lubię.

Lubię, gdy jesteś, jak ptaszę, wesoła
I rozbawiona, by dziewczątko młode,
Lubię, gdy śmiech Twój dźwięczy dokoła,
Lubię i kocham tę Twoją swobodę.

Lubię ten szczebiot, który z ust Twych płynie,
Kiedy spoglądam w Twoje cudne oczy,
Bo każda chwila tak rozkosznie minie,
Kiedy się z Tobą pogawędkę toczy.

Lubię Twój uścisk, kiedy drobna rączka
Dłoń mą obejmie i popieści chwilę.
Lubię Twe usta, które na kształt pączka
Ustami mymi w całunkach rozchylę.

I Twego serca kochanego bicie
I te nad czołem jasnych loczków zwoje,
Lubię i kocham nad me nędzne życie,
Choć wiem, że wszystko to drogie... nie moje...

Stanisław Kamyk.

Wśród puszcz i stepów.

(Ciąg dalszy).

Cezar był prawie pewny, że zwierz odszuka go na drzewie i gotował się na przyjęcie gościa, to też zdziwił się nieco, gdy oczekiwanie jego się nie spełniło. Darmo jednak w ciemnościach wzrok wytężał; nie mógł nawet dojrzeć niedźwiedzia, który, spadłszy ze skały, nie dawał znaku życia. Przez chwilę murzyn sam nie wiedział, czy zejść z drzewa, czy jeszcze czas jakiś czekać cierpliwie. Nagle odezwało się z podziemia zajadłe szczekanie Sułtana, któremu towarzy-



Cezar ujął siekierę i zbliżył się do drzewa.

szył okrzk trwogi Dika; usłyszawszy go, Cezar w mgnieniu oka spuścił się z drzewa, i wlazłszy na drugie bliższe, skoczył na skałę.

Dik strzelił był do niedźwiedzia przez szparę, znajdującą się u góry w sklepieniu podziemia i był pewny, że trafił. Ale zwierz ani się zachwiał, choć ryknął wściekle, co niepomału młodego strzelca zdziwiło. Patrzał ciągle przez szparę i dopiero po strzale Cezara spostrzegł, iż niedźwiedź widocznie traci siły, a gdy spadł na ziemię, Dik uważał sprawę za skończoną. Ponieważ jednak murzyn się nie pokazywał i zachowywał milczenie, więc i on cicho się sprawował, usiłując nadaremnie dopatrzeć, co się stało z niedźwiedziem. Na nieszczęście nie przyszło mu na myśl nabić strzelbę, sądził się bowiem zupełnie bezpiecznym w jaskini.

A gdy tak stał przy szczelinie skały i wyglądał w noc ciemną, Sułtan nagle zaszczekał gwałtownie. Wnętrze podziemia było oświetlone małą lampką, którą Dik był zapalił po przyjściu do jaskini. Odwrócił się niespokojnie do Sułtana, który ujadał coraz wściekle), zwrócony do kamienia, zamykającego podziemne przejście do groty. Jakież było przerażenie chłopaka, gdy usłyszał wyraźnie za tym kamieniem, bardzo słabo ubezpieczającym wejście do podziemia, groźny ryk niedźwiedzia. Teraz dopiero przypomniał sobie, że obaj z murzynem w pośpiechu zapomnieli włożyć na miejsce kamień, który od strony zewnętrznej przejście to zamykał. Zwierz oczywiście wcisnął się w wązki otwór i przybywał w odwiedziny nieproszony i wcale nie pożądany. Dik krzyknął z przestrachu i podbiegłszy do ruchomego kamienia, całym ciężarem swego ciała go przyciskał, gdyż był to jedyny sposób powstrzymania niedźwiedzia. Tymczasem i Cezar przybiegł na ratunek drugiem wejściem.

Niedźwiedź dobijał się gwałtownie; drapał kamień pazurami, zębami o niego dzwonił i gdyby nie to, że był już mocno osłabiony z powodu ran otrzymanych, odwaliłby go niezawodnie bez trudności. Ryk jego brzmiał straszliwie w tej ciasnej, zamkniętej przestrzeni, wściekłość sił mu dodawała i dwaj przyjaciele zaledwie zdołali kamień utrzymać wspólnem usiłowaniem. Murzyn miał wprawdzie strzelbę nabitą, bo jeszcze na drzewie o tem pamiętał, lecz nie mógł z niej zrobić użytku; ani na chwilę nie śmiał odejść od kamienia, żeby zwierz nie wpadł do jaskini, a nie było pewności, że trzecia kula go dobije odrazu, wobec znanej, prawdziwie zadziwiającej wytrzymałości niedźwiedzia.

Nic więc nie pozostało obu oblężonym, tylko trzymać mocno kamień i nie wpuszczać napastnika do twierdzy. Pocieszali się nadzieją, że zwierz w końcu musi osłabnąć wskutek wysilenia i utraty krwi, a wówczas jeden będzie mógł kamień utrzymać, drugi zaś, strzelając raz po raz, położy w końcu trupem nieproszonego gościa. Nie omylili się w tem przewidywaniu. Niedźwiedź coraz to słabiej się dobijał, chwilami nawet wypoczywał, widocznie znużony, ryczał, sapał, lecz kamienia nie wstrząsał wcale.

— Bierz moją strzelbę — zawołał podczas takiego przestanku murzyn do towarzysza — ja już sam kamień utrzymam.

Dik, nie tracąc ani chwili, pochwycił strzelbę, leżącą obok nich na ziemi, poczem niezwłocznie podparł znowu kamień, gdyż niedźwiedź rozpoczął szturm na nowo.

— A teraz, jak tylko się zmęczy i przycichnie, przesuniemy troszeczkę kamień, aby lufa przejść mogła przez szparę i pal! w imię Boże.

Nadeszła wkrótce pożądana przerwa.

— Do dzieła! — krzyknął Cezar i przesunął ostrożnie kamień; ale w tejże samej chwili niedźwiedź z podwójną wściekłością dobijać się począł, jakby resztki sił zbierając. Udało mu się nawet przez otwór łapę wsunąć do środka podziemia, a w tejże samej chwili ponad tą łapą błysnęło oko krwią nabiegłe.

— Śpiesz, Diku, śpiesz na miłość Boską! — wołał Cezar i całą siłą trzymał kamień, ażeby zwierz nie wpadł do jaskini.

Dik przyłożył lufę prawie do oka potworu i pociągnął za cyngiel: łapa i oko znikły nagle. Dwaj chłopcy, powstrzymując oddech, słuchali... Krótkie sapanie, wraz z przygłuszonym jękiem, doszło ich uszu, poczem w podziemiu zapanowała cisza grobowa.

— Diku — nabij zaraz obie strzelby — rzekł murzyn, niedowierzając jeszcze, by nieprzyjaciel ostatecznie był pokonany i nie przestając mocno przytrzymywać kamienia.

— Bądź spokojny, już on się teraz nie ruszy — odpowiedział Dik, spełniając jednak śpiesznie polecenie murzyna.

Dopiero gdy obaj mieli broń w ręku, Cezar puścił kamień i odskoczył na drugi koniec jaskini, pociągając za sobą towarzysza. Lecz zbytek to już był tylko ostrożności: w podziemnem przejściu panowała głucha cisza. Pomimo to znajomi nasi po niejakim czasie dopiero odważyli się odjąć kamień i zajrzeć ze świa-

tłem do ciemnej kryjówki. Z radością przekonali się, że niedźwiedź był tym razem na dobre zabity; ostatnia kula Dika zadała mu cios stanowczy.

— Dzięki Bogu! I to niebezpieczeństwo przebyliśmy szczęśliwie,—rzekł Dik, oddychając swobodniej.

— Wielka to była nieuwaga z mojej strony — mówił murzyn — żem zapomniał położyć natychmiast kamień u wejścia. Będzie to dla nas nauką na przyszłość, jakie skutki pociągnąć może za sobą najmniejsza nieostrożność. Biegnę też przedewszystkiem to wejście zamknąć, jak należy.

— Poczekajże — odparł Dik — musimy przecież wprzód niedźwiedzia stąd wydobyć.

— Łatwiej nam będzie przenieść go przez jaskinię i na wierzch skały wyciągnąć. Zabierzemy się do tego jutro rano.

I nie tracąc czasu, murzyn poszedł opatrzyć starannie wszystkie wejścia i pozasuwać kamienie, a uspokoiwszy się zupełnie o bezpieczeństwo twierdzy, powrócił do towarzysza i obaj po trudach dnia tego smacznie usnęli.

17. W lesie i na stepie.

Kilka tygodni upłynęło od wypadków, opisanych powyżej. Młodzi myśliwcy odbyli przez ten czas niejedną bliższą i dalszą wycieczkę, nigdy jednak nie oddalali się zbytecznie od twierdzy.

Podczas jednej z dalszych myliwskich wycieczek, dwaj towarzysze przechodzili nad brzegiem rzeki Arkanzasu; w pewnem miejscu cała jej szerokość prawie pokryta była drzewem, które prąd wody zwolna unosił, a niekiedy osadzał na mieliźnie przy brzegu.

— To szczególne — rzekł Dik, spoglądając na te pływające wyspy — patrz, jak te pnie ułożyły się jedne na drugich. Na spodzie leżą najdłuższe, na tych krótsze, a na wierzchu jeszcze krótsze. Ale cóż to znów znaczy? te najkrótsze zaczynają się poruszać!

— Bo to, co Dik bierze za kloce drewniane — odrzekł murzyn śmiejąc się — to są żyjące stworzenia.

— Ach krokodyle! nic innego, tylko krodyle! — zawołał Dik.

Na różnych zajęciach i wycieczkach upłynęło im trzy tygodnie od rozstania się z Sercem prawem. Wnet jednak krótkie te przechadzki w pobliżu twierdzy przestały zadawalniać przedsiębiorczych chłopaków. Przedłużali je więc coraz więcej; nieraz po trzech i czterech dniach dopiero do domu powracali, ale i to im nie starczyło.

Pewnego rana, w najpiękniejszą pogodę, dwaj młodzi przyjaciele, zaopatrzeni w amunicję na czas dłuższy, w zapasy żywności, pomiędzy którymi główne miejsce zajmowała spora ilość soli, puścili się w drogę w kierunku północnym, zabierając ze sobą tym razem i Sułtana. Rozumie się, że twierdzę najstaranniej ze wszystkich stron pozamykali i pochowali przedmioty, mogące zdradzić obecność ludzi w tem miejscu.

Gdy przybyli do okolicy oddalonej, gdzie jeszcze przedtem nigdy nie byli, Cezar wyjął z za pasa ostrą siekierkę, zbliżył się do pięknego białego dębu i wyciął w korze jego duży znak okrągły. Rosło tam dużo drzew podobnych i znak ten widoczny był z daleka.

— Co ty robisz? — zapytał Dik.

— Trzeba pomyśleć o drogowskazach.

— Jakto o drogowskazach?

— Wybieramy się w daleką podróż; gdy zapędzimy się w głąb puszczy, jakże potem trafimy z powrotem do twierdzy? Muszę więc tak wszędzie w pewnych odstępach poznaczyć drzewa, żebyśmy z łatwością drogę odszukać mogli nawet po upływie kilku tygodni.

— Ty o wszystkiem pamiętasz, doprawdy podziwiam twoją przezorność i roztropność — rzekł Dik, który zawsze unosił się nad dowcipnymi pomysłami przyjaciela.

Młodzi wędrowcy przebywali tym sposobem znaczny kawał drogi, a nawet strumienie i szersze rzeki nie zatrzymywały ich w pochodzie, obaj pływali bowiem doskonale. Niejedna też spotkała ich przygoda, chociaż wszystkich opisywać tu niepodobna. Zatrzymali się nareszcie na skraju niezmierzonego stepu.

Cezar i Dik długo naradzali się nad tem, czy zawrócić stąd i tąż samą drogą dążyć, do twierdzy, czy też puścić się na dalszą wędrówkę i korzystając ze sposobności, zapoznać się jeszcze ze stepem. Dla murzyna wprawdzie i step już nie był nowością, znał dobrze wszystkie niebezpieczeństwa jego, równie jak i sposoby uchronienia się od nich. Jakkolwiek jednak wielką miał ochotę na taką wycieczkę, nie namawiał na nią jednak Dika. Ale tamten marzył tylko o tem, aby zobaczyć na własne oczy stada żubrów i dzikich koni, hasające po stepie i tak gorąco pragnął urzeczywistnić to marzenie, że w końcu, ku niemałej radości Cezara, stanęło na tem, aby się puścić dalej stepem.

Pierwszy dzień wędrówki po stepie upłynął bez żadnych niezwykłych przygód. Kępy drzew, które przez czas jakiś urozmaicały krajobraz, ukazywały się coraz rzadziej, coraz szerzej natomiast rozciągały się rozległe łąki, jednostajnie pokryte trawą i różnobarwnem kwieciem; gdzieniegdzie tylko równinę przerywały nieduże wzgórza lub skały, stojące długim szeregiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Powstań narodzie!



Powstań narodzie, zbudź się z uśpienia!
Wytęż żywotne swe siły,
By się spełniły wieszczów marzenia,
By czynów echa dzwoniły!

Powstań narodzie, wstydź się swawoli,
Przestań się zmagać zażarcie,
A pokaż światu, że ciężkiej doli
Stawiasz swe czoło otwarcie!

Powstań narodzie, porzuć niezgodę,
Co dawne zrodziła klęski,
Co ci wydarła przedtem swobodę,
Teraz gotuje los ciężki!

Powstań narodzie, imaj się pługa,
Oraj ojczystą ziemię,
A szczęścia jasna, złocista struga
Spłynie na naszą stolicę.

Zbudź się narodzie i uderz w czyn,
Bo nam potrzeba dziś pracy!
I czyń powinność, kto prawy syn!
W jedności siła, Rodacy!

Franciszek Rajski.



MACIEK BZDURA GADA:

Nawyćciwiała mi Kaśka w gazycie w zesłą niedzielę okrutecnie. Moze nie tyle mnie, co insem chłopakom, ale ze to powinno tak być, iz wszyscy za jednego, a jeden za wszyćkich, więc i ja jeden za wszyćkich rozsierdziłem się na nią ogromnie i jak tylko w gazycie to jej gadanie zuźrałem, tom ją tak palnął (w gazycie) w jadackę, że az się papir skurcył na wszyćkie boki. Bo co jej do tego, co, kto, i gdzie ma i na co! A choć to i prawda, ze na niejednem z nas rzepeby posiał, to nie la tego, zebyśmy się wody bojali, ale ze to cłek ma do roboty cięgiem z takiemi rzecami od których się nie wybiela, to nic dziwnego, ze po ciągłej harówce ile tyle brudajstwa tu i tam się przycepi. A jak się raz przycepi, to potem tego odcepić trudno i tak ta rośnie i rośnie, ze nie wiada, jak się tego wszyćkiego pozbyć.

A juz ja ta wolę takiego, co i palice ma grube i posiekane, choćby na nich i krztynka brudu była, i wolę takiego, coby tu i tam i rzepsko posiać można, jak takiego wychuchańca, który przy lada podmuchu wiatru gnie się i chwieje nicem trzcina cieniuśka. Ale gorzej jest, jak dziopa, cy to wsiowa, cy miastowa o swoją cystość cielesną nie dba. Wiadomo przecie, ze kuzda baba pół życia swego ręce w wodzie przetrzyma. Ma tez dość okazyj, aby wszyćko to, co na niej niepotrzebne sprać ze siebie i chodzić po tem Bożem świecie bielutka jak lilja. Bo cy to dziecka kąpie, cy to chusty pierze, cy to garki myje, to zawse w wodzie się obraca i nie strasna jej rzec sięgnąć trochę dalej i swe grzysne cielsko jako tako ocharuzyć. Ale gdzie tam! Takby się zdawało, a jest inacej. Dawniej, jak ta dziewucha nosiła długie spodnice, to cłek tego wszyćkiego nie widział, ale teraz — zmiłujcie się ludzie. Gdy choćby najlzejsy wiater zawieje i kieckę do góry podniesie, to cłek, choćby nie chciał, zamiast cystości panieńskiej zuźry celuście piekielne i patrzyć mu się odniechce. A bez to prawie kuzda dziewucha ma rącki bieluśkie nicem hrabionka z miasta, często gęsto gęba na wzór miescek pomalowana farbami i posypana mąką, a pod spodem obraza Boska.

La tego lepiejby Kaśka zrobiła, zamiast wygadywać na chłopaków, gdyby zaglądnęła tam, gdzie trzeba i tam, gdzie trzeba, powiedziała, co i jak zrobić należy.

A ze ja nie łzę, to chyba wystarcy pozryć na teraźniejse dziewuchy. Boże odpuść, jak to wszyćko wygląda! Znikły te dawne spodnicki, w którychby się cała familja mogła była pomieścić, a miejsce ich zajęły jakiesik króciusieńkie kiecki, ze ledwie do kolan dostają. Znikły dawne kaftoniki, w których poznałeś u dziopy, co i gdzie ma, a zastąpiły je jakiesik bluzeczki, staniczki, pod któremi wszyćko inne być może, ino nie to, co potrza. A na głowie zamiast pięknych warkocy zuźrys teraz coś jakby garstkę siana nastrzępioną, ze ni ma ani w co grzebienia wetknąć. Ni ma w co, nima i poco, bo się tam nic ućciwego nie utrzyma, ale wszyćko za lada poruseniem wyleci.

Najbardziej na tych krótkich włosach cierpią wiersiarze, którzy pisują wirstle do dziewuch. Dawniej pisali: „Patrzę w twoje ocy i do twych warkocy“, a teraz się to nijak nie da poskładać, bo jak tu do słowa „ocy“ dorobić co nieco z kudłów, jakie się teraz na głowach dziewuch rozsiedliły? Niektórzy do „ocy“ chcą dorobić wirs „jaz ci włos podskocy“, ale to im nie idzie, bo wiadomo, ze włosy nie skakają. Insi poradzili se lepiej, bo piszą: „Gdym popatrzył do mojej dziewcyny, tom widział strasne jej cupryny, podobne do pierzyny, abo do zwierzyny“. Dobry poeta to se we wszyćkiem poradzi, ale takich teraz mało na świecie, bo ci, coby mogli pisać, to sie jem pisać nie kce, a ci, którym się kce, to pisać nie umią.

Ale nie o tem zacąłem gadać, więc i nie na tem będę końcył. Wracam więc do cystości nasych dziewuch i musę pedzieć, ze malowaną gębą i cystemi rękami to jesce kawalera złapać mozna, ale z zeniatem to na nic sprawa. On wszyćko spenetruje, a potem co? A przecie w małżeństwie powinno być wszyćko jasne, aby tego, którego się ułapało, na wieki wieków amen przy sobie utrzymać. Bo nie śtuka złapać na malowany pyscuś, ale trudniej brudasowi wytrwać w scęśliwości małżeńskiej.



Obrazek prawdziwy.

Zachodzące słońce purpurowem światłem oblało strzechy chat wiejskich i opuszczało się coraz niżej nad ziemią, aż zaszło za gąszcz starych olch, co rosły nad rzeką i skryło się gdzieś hen. — Cisza zwolna poczęła zalegać wioskę. Zdala tylko słychać jeszcze nawoływanie, czasem pies gdzieś zaszczeka, czasem wiatr przyniesie szmery rozmowy, to znów wesoły śmiech dziewczyny, przerwie wieczorną ciszę. Jeszcze chwilę i te ostatnie zamilkną odgłosy. Na niebo wypłynął księżyc cichy i jął zwolna sunąć wśród szafirowej przestrzeni, rozsypując swe blaski na pola, łąki, na sady i chaty śpiących po dziennym trudzie wieśniaków. Blask jego padł na siedzącą blado dziewczynę, co jedna nie śpi wśród tej nocnej ciszy. Dobroczynny sen, ten koiciel trosk ludzkich i cierpień nie skleja jej powiek. Głowę oparła na dłoni, oczy utkwiła w księżyc, a z piersi jej wydobywają się głębokie westchnienia. Przy niej leży różaniec, lecz ona się nie modli, usta jej czasem szepcą słowa jakiejś skargi. Ona tak gorąco, tak szczerze się modliła, tak prosiła Boga, lecz nic nie pomogło, Bóg nie wysłuchał jej, snać odwrócił swoje oblicze od niej. Księżyc piął się coraz wyżej, a i w jej duszy zaczęły się budzić coraz smętniejsze obrazy przeszłości, to znów jasne i piękne, pierwszej miłości. Młode dziewczę wesołe, wiosna w naturze i wiosna w sercu, dwojga młodych szczęśliwych. On miał na sobie piękny mundur oficerski. Jak dumnem było zeń jej serce, przy boku ukochanego.

Tu drugi obraz nastąpił w jej duszy — pożegnanie, pełnemi łez oczyma, patrzyła na niego, lecz rozstanie nastąpić musiało. Z czysto męzką logiką starał się on jej wytłumaczyć:

— Los nas rozłącza nie na zawsze, wojna się wkrótce skończy, wrócę. Proszę cię, bądź rozsądną, nie płacz i nie czyń rozstania jeszcze przykrzejszem. Bądź zdrowa, módl się i nie zapominaj o mnie.

Obraz trzeci, znowu minęło parę miesięcy, a tu otrzymuje wiadomość: Janek nie żyje! Jęk żałosny wyrwał się z jej piersi, w duszy szaleje burza rozpaczy. O gdyby mogła wyrwać z piersi swej tę boleść, tę żałość — choć na małą chwilę, gdyby mogła, nie myśleć, nie cierpieć. Ale jak nie myśleć, kiedy jej największy skarb na świecie nie żyje, jednego miała i to jej odebrali, zabili. Dziś wszystko jej mówi: Janek nie żyje. Stare lipy szepcą, nie żyje, wietrzyk z pól przynosi wiadomość, nie żyje, nawet puszczyk złowrogo i cmentarnie chwili, nie żyje. Jak ugodzone strzałą zwierzę z krzykiem rzuciła się na ziemię i poczęła jęczeć boleśnie. Po niebie już piętrzyły się różowe obłoczki, zapowiadał się piękny poranek. Wstawał świt zwiastun nowych cierpień i bólów ludzkich.



Poradnik gospodarczy.

Ważną czynnością gospodarza jest oczyszczenie ogródka z zielsk wszelkiego rodzaju. Aby sobie tę czynność ułatwić, nie trzeba czekać, aż zielska porosną duże i zakorzenią się silnie, ale, gdy są małe, popodcinać należy ich korzenie w dzień słoneczny i pogodny specjalnemi kopączkami. Roślinki podkopane zaraz od słońca poginą, uschną. Nie powinno się również dopuścić, aby płoty i ogrodzenia zieleniły się od wyrosłych chwastów wszelkiego rodzaju, które zanieczyszczają ziemie ogrodowe, rozsiewając przy pomocy wiatru swe nasiona. Trzeba więc na ogrodzenia uważać i nie dopuścić do rozrastania się chwastów, które bardzo trudno wyplenić.

Przy podcinaniu młodych chwastów pamiętać się musi, aby nie popodcinać i poniszczyć szlachetnych roślinek i pracę tę wykonać powoli, umiejętnie i ostrożnie. Zeschniętych chwastów nie należy zostawiać w bruzdach, ale zebrać i złożyć na kupy kompostowe i przerobić na nawóz.

Gdy się robi grządki pod jarzyny, pamiętać się musi o położeniu gruntu; nie można bowiem robić kwater w poprzek pochyłości, bo przy nawalnym deszczu potworzą się z bruzd głębokie rowy, woda zamuli i porozrywa niższe grządki i zniszczy dużo posadzonych roślinek. Dalej trzeba pamiętatć, aby grządki nie były bardzo szerokie, ale takie, aby wygodnie z jednej strony można było dostać się do środka grządki, za szerokie grządki są bardzo niewygodne.

Nasiona wsiewać należy na grzędy bardzo spulchnione, równo i starannie zgrabione. Jeżeli sadzonki mają być później przesadzane, należy nasiona siać gęściej, jeżeli powstają w miejscu — rzadziej. Jedne rośliny dobrze znoszą przesadzanie i nawet je lubią, inne nie. Do pierwszych należą: kapusta, sałata, buraki ćwikłowe. Aby otrzymać z ich nasion dobre sadzonki, sieje się je rzędami 2—3 cm. od siebie oddalonemi, a wtedy sadzonki będą silne. Inne, drobniejsze nasiona sieje się gęściej.

Gdy sadzonki są za gęste, wyrastają wątłe, przy podlewaniu przewracają się i wiele się marnuje. Jeżeli wsiewamy nasiona, których nie będziemy z miejsca ruszać, to robimy rowki 20—30 cm. odległe od siebie, zaś od 2—4 cm. głębokie, zależnie od wielkości (grubości) nasion. W te rowki wsiewamy nasionka regularnie, nie gęsto, mając na uwadze, ile miejsca odnośna roślina zajmie, rosnąc wygodnie. Po ukończeniu siewu rowki równamy i podlewamy.

Jeżeli siejemy rzutem, to grabiami należy raz koło razu zasiekać ziemię, tak, aby wszystkie ziarna w nią wgrzebać, zwracając jednak uwagę, by nie wcisnąć ich ani za płytko, ani za głęboko. Nasionko powinno być przykryte warstwą ziemi 4—6 razy grubszą od samego nasienia. Przy siewie rzutowym uważać, by nie siać kupkami, gdyż wtedy okazuje się, że grządka w jednem miejscu jest pusta, w drugiem zaś tłoczą się rośliny bez odpowiedniego miejsca do wzrostu.

Niektóre nasiona potrzebują dłuższego czasu do skiełkowania i te nasiona trzeba przed zasiewem namoczyć przez 24 godzin w wodzie, a wtedy prędzej skiełkują; do tych należą: ćwikła, marchew, ogórki, pietruszka. Namoczenie ma tę jeszcze dobrą stronę, że nasionka zdrowe i dobre, rzucone w wodę, po jakimś czasie opadają na dno naczynia, puste zaś i nadpsute pływają po niej i gdy się je po moczeniu wyciska, wydają brudno-białą masę cuchnącą.

Na kiełkowanie ma wielki wpływ ciepło, wilgoć i dostęp powietrza. Jeżeli nasiona zostały wsiane nie w ciepłą ziemię, lub za głęboko, to często psują się i nie wschodzą.

Chcąc mieć świeże jarzyny cały rok, należy zasiewać je w różnym czasie w ciągu lata. Niektóre nasiona jak marchew, pietruszkę, groch sieje się w jesieni, aby zeszła przed zimą. Inne wcześnie siejemy, gdy tylko możemy kopać; później wsiewa się buraki, rzodkiew, zaś z początkiem maja ogórki, dynię, fasolę, kukurudzę i bób. Inne warzywa przygotowujemy tak, byśmy rozsadę mieli z końcem kwietnia lub z początkiem maja.

Zasiane lub zasadzone grządki muszą mieć należytą ciepłotę, i muszą być zasłonięte od zimnych wiatrów i mieć dosyć wilgoci, a gdy tej brak, należy je podlewać. Wogóle małe roślinki wymagają pilnej uwagi, by nie miały ani za mokro, ani za sucho lub zimno. Gdy przy pracy pamiętamy o powyższych uwagach, możemy spodziewać się pięknych i dorodnych sadzonek, które przydadzą się dla nas lub które dobrze spieniężymy.

Jan Matysik.



DO MOJEJ PRZYJACIÓŁKI.

Czyje to dziewczę piękne i młode,
Co niegdyś niosło w dzbanku wodę,
Co ma na głowie z fiołków wianek
A piękne jest jak wiosny poranek.

Czyje to dziewczę hoże i młode,
Co ma na świecie rzadką urodę,
Co ma piękne a długie warkocze,
I do kochania serce ochocze,

Czyje to dziewczę piękne i młode,
Po jego wianek skoczyłbym w wodę,
Wpław przepłynąłbym oceanów fale
Oj gdybym wiedział, że je ocalę.

Walek Kowalczyk.



Staś sokół.

Rozkwitły bzy i jaśminy — wiosnne święto w pełni rozwijało swe czary pełne powabu, rozjaśniając nieba weselem, budząc pieśń rozgwaru przyrody. W przestworzach chór ptasząt dzwonił hymnem godowym, a dokoła barwnym kwieciem ustroiły się pola i sady.

Staś stał przy bramie, oczekując Luci, która wyznaczyła mu spotkanie. Z roześmianych jego oczu promieniło wesele młodości, a z piersi o mało nie wybiegło serce rwące się ku idącej dziewczynie, która się ukazała zza rogu sąsiedniej ulicy. Szła ku niemu promienna jak zorza, a czarowny uśmiech dziecięcy krasił piękną twarzyczkę.

Oboje byli do siebie bardzo podobni, i rozumieli się myślą na odległość. Spotkanie ich było serdeczne, Staś opowiadał słyszaną wczoraj wojskową przygodę, która na nim wywarła ogromne wrażenie, Lucia słuchała go z uwagą i doznawała tegoż samego uczucia — gdy Staś zakończył słowami: — Padł jak bohater, pozostawiając osieroconą matkę i narzeczoną.

Cień jakiś przysłonił ich idące sylwetki, spojrzeli w górę i ujrzeli ponad sobą krążącego sokoła.

— Sokół! — nasz druh — wykrzyknęli oboje.

Życie w samotni małego miasta ciągnęło się bez zmian — każda wiosna przynosiła im nową uciechę, a każda zima więcej doświadczeń i powagi; Staś był już narzeczonym Luci, i mieli się wkrótce pobrać, gdy przyszła wojna polsko-bolszewicka, przeszkodziła w osiągnięciu ich celu.

Staś jako ochotnik poszedł wraz z kolegami do wojska bronić rubieży napadniętych przez hordy dziczy stepowej.

Naokoło znowu zieleniły się trawy, rozkwitały barwne kielichy kwiatów, pachniały najrozmaitsze zioła — gdy Staś już jako obrońca Polski z karabinem w ręku, stojąc na warcie w pułku, wspominał te chwile, kiedy przebywał wraz z Lucią w świątyni wielkiej ciszy rodzimych pól, a serca rwały się ku sobie i fantazja niefrasobliwa układała plany na przyszłość wspólnego życia.

W pułku nieraz koledzy Stasia zwracali uwagę na stałe zamyślenie jego, gdyż od chwili wstąpienia do wojska zmienił się zupełnie. Tęsknota za ukochaną dziewczyną, szarpała jego serce, zabierała uśmiech jego młodej twarzy, ryjąc głębokie bruzdy. Z czasem stał się niezrozumiały dla najbliższych kolegów, którzy go przezwali dziwakiem.

Formowano oddział bojowy na odsiecz Lwowa, do którego dobrowolnie zgłosił się Staś. Na wieczór, po załatwieniu formalności, po zafasowaniu prowiantu, mundurów i amunicji, Staś wraz z kolegami wyruszył na front.

Pociąg szedł wolno, przeładowany wojskiem i materjałem bojowym — w rytm skrzypu kół i zderzaków, rozlegała się po obszarach ofiarna pieśń żołnierza polskiego.

Staś zmęczony spał, a ciężko oddychając zduszonem powietrzem, śnił sen o ukochanej dziewczynie, i pod wrażeniem tego snu twarz jego wypogadzała się, znikły zmarszczki, pokrywające jego zamyślone czoło. W sąsiednim wagonie żołnierze śpiewali rzewne piosnki, smutne, a pełne wojskowej buty, jak ta cała droga golgota ich Ojczyzny. Pociąg zbliżał się do Lwowa, słychać było przeciągłe strzały armatnie.

Stali na stacji oczekując na rozkaz już w pogotowiu. W południe ruszyli na front, na zmianę pierwszej linji bojowej.

W pierwszym boju Staś padł jak bohater, zostawiając osieroconą narzeczonę i matkę.

Pewnego dnia na rodzinnym cmentarzu zadzwoniły dzwony, i powolnie w blaskach wiosennego słońca zbliżał się wóz z trumną okryty kwiatami. Za trumną szli w żałobie matka, brat Stasia, i Lucia. W zrozpaczonym sercu dziewczyny odezwało się jak echo dalekie wspomnienie opowieści Stasia: „Padł jak bohater, pozostawiając osieroconą matkę i narzeczoną".

Nad świeżo usypaną mogiłą Stasia wzbił się sokół, szybując w błękitną dal z duszą młodego bohatera po wolność zmartwychwstałej Ojczyzny.

D. Lesiowski.



TAJEMNICA CZŁOWIEKA.

Któż duszę ludzką zbada i odgadnie,
Kto w jej tajniki najgłębsze się wedrze,
Kto zdoła odkryć, co jest w sercu na dnie,
Kto z myśli ludzkiej tajemnicę zedrze?

Czasem ból w sercu, a śmiech lica krasi,
I blichtrem skrywa cierpienia okrutne...
A kiedyindziej łza wesołość gasi
I choć raj w sercu, to oblicze smutne.

Człowiek jest sfinksem, który chociaż żyje,
Nie da się przejrzeć nigdy ludzkim wzrokiem,
Bo jego duszę twarz jak maska kryje
Przed ciekawości tego świata okiem.

Antoni St. Bassara.

KRONIKA.

Zaciąg ochotników do marynarki wojennej. Władze wojskowe otworzyły zaciąg ochotników do marynarki wojennej. W terminie do 1 lipca b. r. mogą składać w P. K. U. podania młodzieńcy 20, 19 i 18-letni. Wymagane jest wykształcenie w zakresie conajmniej dwóch klas szkoły powszechnej. Służba ochotnicza w marynarce wojennej różni się tem od podobnej służby w armji lądowej, że trwa trzy lata, z których dwa wypadają na obowiązkową służbę wojskową, trzeci zaś na nadterminową. Ochotnicy prócz żołdu otrzymują dodatek znacznie wyższy od marynarzy poborowych.

Krwawy napad na uczestników obchodu 3-Maja. Dnia 3 b. m. po południu wracała z Glinian z obchodu 3 Maja do Zeniowa banderja włościan polskich. W czasie przejazdu przez wieś Zamoście, napadła z zasadzki na jadących grupa ludzi z żelaznemi drągami i niespodziewających się niczego — zmasakrowała śmiertelnie. Jednemu z ciężko rannych wyrwały z rąk dwie kobiety sztandar z wyszytym Orłem polskim, potargały go na strzępy i podeptały. Z napadniętych pięciu zostało rannych, z tych trzech śmiertelnie. Zarządzono pościg policji, która przy pomocy miejscowej ludności polskiej i ukraińskiej aresztowała jako sprawców napadu T. Kryspę, M. Winiarskiego, A. Kryspową i Kat. Pantiow.

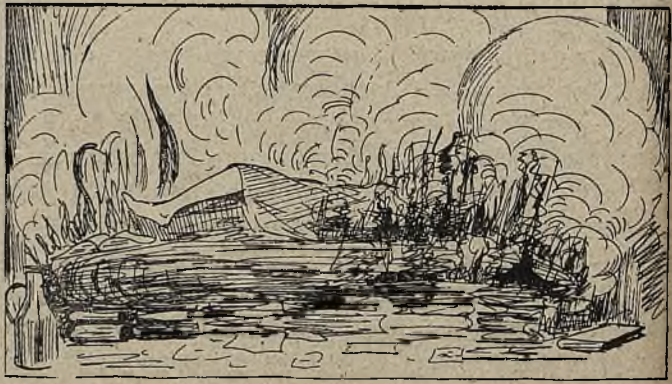
Zuchwały rabunek w pociągu. W przedziale II klasy pociągu pospiesznego, idącego z Częstochowy do Warszawy, jechał wraz z kuzynem Kazimierz Główczewski, właściciel zakładu litograficznego. Obaj zdrzemnęli się. P. Główczewski obudził się w chwili, gdy jakiś drab zdejmował jego walizkę z półki. Zanim zdołał zorjentować się w tem, co ujrzały zaspane jeszcze oczy, rzezimieszek otworzył drzwi i wyskoczył z pociągu. P. Główczewski zaalarmował maszynistę. Zatrzymano pociąg, lecz poszukiwania w ciemnościach nie dały żadnego rezultatu. Policja powiatu błońskiego zawiadomiona o rabunku, wszczęła poszukiwania i znalazła w rowie przydrożnym pustą walizę. Rzeczy z niej, ogólnej wartości około 2.000 złotych przepadły.

Skutki wichury. Ostatnie wichury były przyczyną licznych nieszczęśliwych wypadków, żaden jednak nie nosił cech tak niezwykłych, jak ten, który zdarzył się w Blachowni pod Częstochową. Około wpół do 5 po południu przechodził tam drogą 19-letni Stefan Kusiarczyk, mieszkaniec Blachowni. Kiedy doszedł do miejsca, gdzie wznosił się stary, drewniany krzyż, nagle zawiał potężny wicher. Rozległ się suchy trzask i krzyż runął. Skutki niezwykłego zdarzenia były straszne. Krzyż strzaskał czaszkę nieszczęśliwemu młodzieńcowi, który w jednej chwili wyzionął ducha. Niezadługo przechodnie spostrzegli grozą przejmujący widok — przywalonego krzyżem człowieka w kałuży krwi. Zawezwano pogotowie kasy chorych, które przewiozło zwłoki Kusiarczyka do jego domu.

Morderstwo rabunkowe. We wsi Mierzec pod Łodzią dokonano ohydnego mordu rabunkowego. W przydrożnym rowie znaleziono trupa niejakiego Jakóbowicza. Ciekawem jest, że w dniu mordu Jakóbowicz zgłosił się do policji, w której doniósł, że w drodze z Wielunia do domu podszedł do niego jakiś podejrzany gość, proponując mu towarzystwo. Jakóbowicz miał wówczas większą gotówkę przy sobie. Policja prowadzi energiczne śledztwo.

Nowa fala podpalań. Z Lublina donoszą: Mimo ujęcia rzekomego sprawcy podpalań w powiecie krasnostawskim w osobie niejakiego Rudnickiego, niepokojąca ludność miejscową groza dalszych podpalań, znalazła swoje potwierdzenie. Oto w dniu 2 maja podpalona została w Bzitem stodoła, należąca do gospodarza Darmocha. Podpalenia dokonano w ten sam sposób, jak poprzednio, to jest zapomocą waty. Na miejsce wyjechali przedstawiciele władz państwowych, celem przeprowadzenia śledztwa.

Śmierć na stosie z książek. W Brzostowie pod Siedlcami rozegrała się ostatnio wstrząsająca tragedja. Przed kilku dniami przyjechała tam z Warszawy córka miejscowego nauczyciela, 20-letnia Felicja Kirchnerówna, która uczęszczała na filozofję w uniwersytecie warszawskim. Przybyłą wypędził z Warszawy niedostatek. Miała jeszcze nadzieję, że rodzice będą jej w stanie dopomóc i że wróci skończyć nauki, niestety jednak skromna pensja nauczycielska nie wystarczała nawet na utrzymanie domu, a cóż dopiero mówić o kształceniu córki. Dziewczyna była zrozpaczona. Dotychczas kształciła się z najwyższym trudem i wysiłkiem i mimo to, gdy zbliżał się termin otrzymania ostatecznego dyplomu, okazała się konieczność przerwania nauki. Drugiego dnia pobytu w domu Kirchnerówna okazywała niezwykłe zdenerwowanie i poszła spać wcześniej niż zwykle. Tymczasem w nocy sąsiedzi zostali zbudzeni łuną płonącego domku Kirchnerów. Ogień powstał w pokoiku córki i gdy wtargnięto tam, ujrzano ją leżącą na płonącym stosie, złożonym z książek, siennika, krzeseł i papierów. Nieszczęśliwą wydobyto na pół żywą z płomieni.



Okazało się, że Kirchnerówna, ułożywszy się na stosie, oblała się naftą i podpaliła, tak, że w jednej chwili stanęła w ogniu. Samobójczynię przewieziono do szpitala, gdzie jednak zmarła w okropnych cierpieniach.

Bunt w więzieniu. Z Warszawy donoszą: W ubiegłą środę rano w więzieniu mokotowskiem wybuchł bunt więźniów pod pretekstem złego odżywiania. Bunt przygotowany był od kilku dni przez agitatorów. Gdy rano wydawano chleb więźniom, nie chcieli go oni przyjąć, jako rzekomo niedopieczony i rozpoczęli wrzawę. Służba więzienna po półgodzinnych wysiłkach ubezwładniła więźniów przy pomocy sikawek i kaftanów bezpieczeństwa. W czasie utarczki kilku więźniów i dozorców zostało poturbowanych. Kilku podżegaczy stanie przed sądem doraźnym.

Samobójstwo defraudanta. Z Warszawy donoszą: W ubiegłą środę rano na statku „Wyspiański", płynącym Bugiem, pozbawił się życia wystrzałem z rewolweru były kapitan statku, Michał Ostrowski, który roztrwonił grą w karty około 100.000 zł., należących do państwowego zarządu dróg wodnych.

Wyjazd robotników polskich do Brazylji. Z Warszawy donoszą: W myśl nowego układu emigracyjnego Polski z Brazylją, która ostatnio zobowiązała się do przyjęcia większej ilości polskich emigrantów celem zatrudnienia ich na plantacjach kawy, Brazylja zobowiązała się wobec każdego emigranta, iż w ciągu

dwu lat będzie miał zapewniony pobyt w naturze lub w płacy robotniczej. Do Brazylji będą przyjmowani tylko tacy emigranci, którzy wyjeżdżają z rodzinami i to licząc conajmniej trzy osoby zdolne do pracy fizycznej. Pierwsza grupa emigrantów obejmie prawdopodobnie tysiąc rodzin, a więc ponad 3 tysiące osób.

Pies, który ocalił życie 103 osobom. Było to w Bawarji, na górze Schneeber; zebrało się tam 103 narciarzy płci obojga, którzy postanowili spędzić noc w małem schronisku drewnianem, położonem na wysokości 1063 metrów nad poziomem morza. Stamtąd pragnęli oni skoro świt wyruszyć w dalszą drogę. Około wpół do trzeciej nad ranem, gdy wszyscy spali w najlepsze, wybuchł pożar i chata cała napewno byłaby się spaliła, zanimby ktokolwiek z narciarzy zdołał się obudzić, gdyby nie pies, który zaczął donośnie szczekać na widok pierwszych płomieni. Zbudzeni narciarze szybko zabrali się do gaszenia ognia, który rósł z niewiarogodną szybkością. A chociaż na dworze mróz wynosił 10 stopni, wszyscy musieli się przy ratowaniu rozebrać zupełnie, tak było gorąco z powodu płomieni. Po dwu godzinach pożar udało się ugasić.

Potworna zemsta. W okolicach Hamburga znaleziono przed kilku dniami zwłoki dwu chłopców, 15-letniego Henryka Vogla i jego rówieśnika Fryderyka Mauthnera. Oględziny lekarskie ustaliły, iż chłopcy zostali zamordowani jakiemś ostrem, kolącem narzędziem. Przeprowadzone śledztwo wyjaśniło straszną zbrodnię. Morderczynią była 13-letnia Paula Gruber, córka szynkarza. Przedwcześnie dojrzała dziewczyna pokochała Mauthnera. Młoda para ślubowała sobie miłość. Uczucie chłopca było jednak nietrwałe. W krótkim czasie ostygł dla Pauli i przeniósł swe afekty na jej przyjaciółkę. Zawód miłosny wyprowadził z równowagi dziewczynę. Zdawało się jej, że kochanek opuścił ją za namową Vogla. Postanowiła przeto zemścić się na obu chłopcach. Zaopatrzyła się w szydło szewskie i zwabiła przyjaciół nocą na przechadzkę. Wszyscy troje usiedli na kupie kamieni, a Paula wbiła szydło w serce Mauthnera. Gdy nad ciężko zranionym pochylił się jego przyjaciel, w tej chwili otrzymał taki sam cios w serce. Obaj chłopcy zmarli po kilku minutach męczarni.

Nos wartości 20.000 franków. Pewna kucharka w Paryżu, nazwiskiem Thiery, została tak nieszczęśliwie zraniona podczas wypadku z samochodem, iż po 3 miesiącach leczenia w szpitalu powróciła do domu z nosem... pozbawionym węchu. Poszkodowana wniosła skargę przeciwko właścicielowi samochodu. Sąd skazał go na 15 dni więzienia, a uznając równocześnie, że utrata powonienia jest specjalnie przykrą w zawodzie kucharskim, kazał winowajcy wypłacić ofierze wypadku 20 tysięcy franków odszkodowania.

Złowrogie sygnały ostrzegawcze. Francja stara się wszelkimi sposobami walczyć z chorobliwą wprost manją szybkiej jazdy samochodowej. Na niektórych szosach w południowych prowincjach widnieją malowane czaszki trupie, wymowne „memento mori", na drodze zaś z Paryża do modnego Deauville, ulubionego celu wycieczek automobilowych, urządzono 10 posterunków Czerwonego Krzyża z jaskrawo wymalowanymi emblematami. Jeden z dzienników paryskich proponuje umieszczenie tuż przy szosie, w niedużych odstępach szyldów, zalecających automobilistom... zakłady pogrzebowe, odwożące ofiary katastrofy wprost na cmentarz. Wartałoby i u nas poczynić podobne znaki, gdyż często zapaleni szoferzy pędzą bez zastanowienia, płosząc konie, co powoduje liczne nieszczęśliwe wypadki, lub tratując nietylko drób, ale i ludzi.

Osobliwy zwyczaj weselny. Obrządek ślubny stanowi — jak wiadomo — jedną z najważniejszych chwil w życiu człowieka, dlatego każdy naród stworzył sobie przy weselu rozmaite swoje własne zwyczaje, któremi stara się upamiętnić człowiekowi ważną godzinę. Gdzieniegdzie są te zwyczaje bardzo osobliwe, a o jednym z nich właśnie piszemy.



W Anglji istnieje zwyczaj, że oblubieniec i oblubienica, gdy wychodzą z kościoła, napotykają czekających tam na nich znajomych. Każdy trzyma w ręku garnuszek lub dzbanuszek pełny wody i gdy tylko zobaczy wychodzących państwa młodych, wylewa na nich całą wodę. Takie „oblanie ślubne" ma przynosić szczęście młodemu marynarzowi małżonkowi i jego żonie.

Potęga przesądów. Dziennik angielski „Daily Nevs" przeprowadził ankietę, z której wynika, że Anglja jest krajem, w którym przesądy zakorzenione są z wyjątkową wprost siłą. Okazuje się mianowicie, iż feralnej liczby 13 unikają wszyscy starannie i to nietylko w życiu prywatnem. Spółka kolejowa „London-Midland and Scottish Railway" postanowiła wprowadzić z dniem 1 lutego r. b. nową numerację miejsc w wagonach od 1 do 12, by uniknąć trzynastki, tego miejsca posażerowie nie chcą bowiem zajmować. Podobnie rzecz się ma w eleganckich hotelach angielskich, nie posiadających pokoju, tym numerem oznaczonego. Znana spółka okrętowa „Cunard Line" skasowała na swoich porostatkach kajuty o fatalnej trzynastce. Uprzedzenie to jest tak głębokie i tak szeroko rozpowszechnione, że urzędnicy mają regularnie jeden dzień świąteczny w miesiącu więcej. Oczywiście jest to przesąd, aby liczba 13 przynosiła jakiekolwiek nieszczęście.

Dobroczynny gaz trujący. Znany chemik turecki, Hussein Mustafa, zdołał wynaleźć gaz, który, będąc absolutnie nie szkodliwym dla ludzi, zwierząt i nawet roślin, tępi skutecznie komary, rozpowszechniające zabójczą malarję. Ponieważ doświadczenia, dokonane z nowym gazem w błotnistych okolicach Małej Azji, dały bardzo dobre wyniki, przeto władze tureckie zamierzają stosować go w najbliższej przyszłości na szeroką skalę w tych prowincjach, których ludność dziesiątkowana jest przez chronicznie istniejącą tam malarję.

Pościg za córką miljardera. W San Francisko odbywał się bal najwytworniejszego towarzystwa. Furorę wywołała na nim córka jednego z potężniejszych magnatów dolarowych, miss Amneris Hamilton, dziewczyna, piękna, wysoka, jasno-oka. Przybyła na bal w towarzystwie matki i damy do towarzystwa. Tańczyła bez ustanku. O 2 w nocy przedefilowała z uśmiechem koło swej matki i odtąd ślad po niej zaginął. Zawiadomiono

ojca, który był na jakiejś konferencji przemysłowej, przeszukano hotel, powrócono do domu i tam kontynuowano poszukiwania, wszystko nadaremnie. Oczywiście odwołano się do detektywów, bo to w Ameryce coś tak łatwego i zwykłego, jak sięgnięcie do papierośnicy po papierosa. Detektyw przybył po kilku minutach i istotnie w przeciągu kilku kwadransów ustalił, że miss Amneris wyjechała pociągiem kurjerskim do Nowego Jorku. Powód niewiadomy, dalszy cel podróży również. Następnym pociągiem pojechał detektyw w ślad za zaginioną, lecz w Nowym Jorku dowiedział się, że miss Hamilton wyjechała okrętem do Europy. Zatelegrafował więc do ojca: „Co czynić?“ i otrzymał odpowiedź: „Iść śladami; donosić o dalszym przebiegu!“ W ośm dni później był detektyw w Cherburgu i tu dowiedział się, że przed tygodniem miss Amneris wyjechała. Spędziła w hotelu razem z przyjaciółką jedną noc i pojechała dalej do Paryża. Niech będzie Paryż! Tu jednak śledztwo było utrudnione, gdyż miss Hamilton była tak sprytna, że jechała od Cherbourga pod przybranem nazwiskłem. Kiedy wreszcie trafiono na jej ślad, okazało się, że jest już we Włoszech, w Medjolanie i tu wreszcie dopadł ją prześladowca w jednym z hotelów luksusowych. Natychmiast zatelegrafował do ojca: „Znalazłem“. Odpowiedź brzmiała: „Nie tracić z oczu przyjeżdżam sam“. Detektyw wynajął sobie w tym samym hotelu pokój i pod maską zwykłego turysty zawarł nawet ze ściganą znajomość. Przekonał się przy tej sposobności, że miss Amneris jest nadzwyczaj miła i sympatyczna. Lecz pewnego dnia miss Hamilton zniknęła... Nie przyszła na śniadanie i w hotelu oświadczono, że wyjechała podobno do Wenecji. Czy zwietrzyła pościg, czy detektyw wzbudził w niej podejrzenie? Nie wiadomo. W Wenecji detektyw nie natrafił na jej ślad, powrócił więc, a tymczasem ojciec Hamilton przybył do Medjolanu i omal się nie wściekł. Okazało się, że córka zmieniła w Medjolanie poprostu hotel i dopiero później wyjechała do Florencji. Tam wzięto do pomocy detektywa włoskiego, lecz Amerykanka wyjechała tymczasem do Rzymu i Neapolu. Właścicielka pensjonatu florenckiego oświadczyła, że Amerykanka miała bardzo wiele pieniędzy i kosztowności. Opowiadała ona, że żyje z ojcem w niezgodzie, gdyż nie pozwala jej pójść na deski sceniczne, co jest oddawna jej życzeniem. Do tej chwili uroczej miss nie złapano.

Samozwańcza hrabina. Ameryka jest rajem dla rozmaitych samozwańczych książąt i księżniczek rosyjskich, odkąd istnieją bolszewicy. Rosja carska nigdy nie miała tak licznej arystokracji, jak ta, która prezentuje się na uchodźtwie w zachodniej i środkowej Europie, a zwłaszcza w Ameryce. Ameryka liczy teraz ogromnie wielu uchodźców rosyjskich. Każda Rosjanka, umiejąca się modnie ubrać i z szykiem nosić modne szaty, jest conajmniej hrabiną. Setki książąt i księżniczek, tysiące hrabin przebywa obecnie w hotelach Nowego Jorku, Chicago, Waszyngtonu, San Franciska i innych miastach Ameryki. Dziewięć dziesiątych tej arestokracji to oszuści i oszustki. Gazety amerykańskie co parę dni donoszą o odkryciu, które ośmiesza Amerykanów. I tak niedawno temu zajechała do hotelu w Newarku młoda dama i zameldowawszy się jako hrabina Irena Marja Słobockaja z Rosji, rozgłosiła zręcznie, że jest ofiarą bolszewików. Miejscowa ludność prześcigać się zaczęła w okazywaniu jej swoich względów. Młodociana piękna emigrantka opowiadała poprawną angielszczyzną o tragicznych przejściach w Rosji, o zamordowaniu rodziców i pełnej niebezpieczeństw ucieczce. Formy towarzyskie tej damy były nadzwyczajne. I byłaby zapewne rychło wyszła zamąż za jednego z miljonerów, którzy się oświadczyli o jej rękę, gdyby zawcześnie ktoś nie był zdradził, że hrabina Słobockaja jest identyczna z uciekinierką rosyjską Ireną Ańską, która przed dwoma laty zbiegła z zakładu wychowawczego w Newarku i po licznych awanturach wypłynęła znowu w postaci hrabiny. Irenę Ańską, która obecnie liczy lat 15, aresztowano. Mają odesłać ją do domu poprawy. Pomysłowa panienka zawcześnie zaczęła swą oszukańczą karjerę, a jeśli dom poprawy nie pomoże, będzie zapewne lokatorką niejednego więzienia.

Sto filiżanek kawy. W kraju bezgranicznych możliwości notowane są skwapliwie wszelkie nowe rekordy. Oto naprzykład niedawno mr. Gus Bomstock z Minnesoty osiągnął rekord w piciu kawy, wchłonąwszy w siebie jedna po drugiej 85 filiżanek tego napoju. Dowiedziawszy się o tem, mr. Frank Trachomowitz z Północnej Dakoty, zaprotestował, twierdząc, że sam zdołał już niegdyś w ciągu kilku godzin wypić 90 filiżanek kawy. Nie mógł jednak udowodnić tego świadkami, co wszakże nie przeszkodziło, aby mr. Kinard, handlujący gruntami w Winnipegu w Kanadzie, nie zobowiązał się pobić i ten rekord. I rzeczywiście, mr. Kinard zdołał wobec świadków wychylić od godziny 8·15 do godziny 3·25 sto filiżanek kawy! Jaka to jednak była kawa, to jeszcze pytanie.

Rzeź w prerjach kalifornijskich. Hodowców bydła w Ameryce spotkało wielkie nieszczęście. Wśród pięknych wołów i krów, pasących się na niezmiernych stepach pojawiła się zaraza, która poczęła dziesiątkować stada. Gospodarstwu całych Stanów Zjednoczonych zagrażało poważne niebezpieczeństwo. Z Kalifornji wysyłano alarmujące depesze z prośbą o weterynarzy i pomoc. Prace, mające na celu zwalczanie zarazy powierzono lekarzowi weterynarji Dr Johnowi R. Mohlerowi. Energicznie należało zabrać się do dzieła, bo choroba rozszerzała się z niezmierną gwałtownością. Zamknięto więc na przeciąg kilku dni wszystkie drogi prowadzące do zarażonego obszaru. Wstrzymano transporty bydła i w kilkunastu punktach rozpoczęto kopać ogromne rowy, które miały być cmentarzyskiem dla tysięcy krów i wołów. Do współdziałania wciągnięto wojsko. Setki pastuchów na koniach popędzało biczami nieprzeliczone stada, które gnały naoślep aż do głębokich rowów. I tam dopiero rozpoczęła się straszliwa rzeź. Nie zwracano uwagi, czy stada są dotknięte zarazą, czy nie, nie odróżniano chorych sztuk od zdrowych, lecz tępiono je bez litości. Piramidy trupów bydlęcych zwalano w rowy i polane wapnem, zasypywano. Cztery dni i noce trwała bdzustanna strzelanina, a Dr Mohler w towarzystwie całego sztabu pomocników zwracał baczną uwagę, aby nie oszczędzono ani sztuki. Opustoszały więc żyzne prerje. w całej Kalifornji nie widać ani jednego woła na paszy, cowboye chodzą smętni i oglądają się za pracą, albowiem stali się bezrobotnymi. Dr Mohler zadowolony ze swego dzieła, przesłał telegram do Waszyngtonu: — Jesteśmy panami sytuacji, zaraza została wytępiona. Niedługo trwała radość weterynarza. W kilka tygodni potem, jadąc konno przez prerję, natknął się na trupa mizernej sarenki. Zbadał nieboszczkę i dostrzegł na jej zwłokach ślady tej samej zarazy, która spowodowała zagładę stad bydła. Trzeba się było zabrać do nowego dzieła i wytępić dziką zwierzynę, która mogłaby być nowym rozsadnikiem choroby. W dwa tygodnie potem Dr Mohler odetchnął z ulgą. W lasach nie został ani jeden żywy zwierz czworonogi. Wytępiono je doszczętnie.

RZECZY CIEKAWE.

Ciekawa statystyka.

We Francji i w Niemczech są specjalne stowarzyszenia uczonych, którzy badają sprawę ustalenia przypuszczalnej liczby słów, którymi posługują się ludzie rozmaitych zawodów i warstw społecznych. Są to towarzystwa tak zwanych lingwistów, czyli badaczy języka (mowy). Otóż tym uczonym udało się ustalić, że gazety francuskie posługują się 4000 wyrazów. Przeciętny mieszkaniec Paryża używa w tej samej mowie tylko 1000 słów, a chłopu francuskiemu wystarczy zapas 500 wyrazów. Mieszkańcy w większych miast w Niemczech i Anglij posiłkują się w swej mowie mniej więcej od 700 do 1000, chłop zaś najwyżej 400 wyrazami. Wybitniejsi poeci i pisarze we wszystkich prawie państwach używają w swych pismach od 10 tys. do 13 tys. wyrazów. Z powyższego zdawałoby się, że jest rzeczą bardzo łatwą nauczyć się obcego języka, jednak w praktyce jest to rzeczą trochę trudniejszą. Zato przyswoić sobie odpowiedni zapas słów ojczystego języka jest naprawdę łatwą rzeczą, trzeba tylko czytać książki znanych pisarzy i poetów, oraz gazety.

Ile jest języków na świecie.

Trudno dokładne porobić badania celem odpowiedzi na to pytanie. To też różne statystyki różne podają cyfry, zależnie nietylko od znajomości geografji i etnografji ze strony danych statystyków, lecz także i od stopnia rozróżniania i narzeczy. Jednak według najbardziej kompetentnych danych ludzie mówią 2796 językami. Pośród tej liczby bardziej rozpowszechnionych języków jest 860; z owych 860 przypada na Europę 48, na Azję 153, na Afrykę 118, na obie Ameryki 424, wreszcie na Australję 117 języków. Liczby te świadczą w każdym razie o tem, że wiedza językoznawstwa jest na całym świecie jeszcze w pieluszkach i że wcale nie uprawnia do zarozumiałości posiadania kilku nawet języków, bo co to znaczy wobec 860 a tembardziej wobec 2796 wszystkich języków świata?

Reklama w starożytności.

Podczas poszukiwań archeologicznych, prowadzonych obecnie w Herculanum, koło Pompei, mieście zasypanem w starożytności przez wulkan Wezuwjusz odnaleziono wielkie kolumny, do złudzenia przypominające nowożytne słupy ogłoszeniowe, które istnieją dziś we wszystkich większych miastach. Kolumny owe pokryte były afiszami i ogłoszeniami, przyklejanemi za pomocą gumy arabskiej i zapowiadającymi wiece polityczne, wybory miejskie, etc... Były również ogłoszenia łaźni, restauracji, targów na niewolnice — brakuje programu kinoteatrów, ale kto wie, czy i to z czasem nie zostanie odkryte...

Zagłada w królestwie zwierząt.

Mało kto poza fachowymi przyrodnikami wie o fakcie, że świat zwierzęcy Europy jest poważnie zagrożony w dalszem istnieniu. Szczególnie daje się to odczuć w królestwie ptaków, gdzie zanikają pewne gatunki dotychczas bardzo rozpowszechnione. Przedewszystkiem od szeregu lat słyszy się, że wymierają bociany. Istotnie tak jest, tych popularnych ptaków widuje się coraz mniej. Również przemiłe ptaszę, jaskółka, zagrożona jest zagładą. Znawcy ptaków zwiastują również wymieranie całego szeregu odmian najpiękniejszych ptaków. Daje się również zauważyć ubytek w szeregach tak popularnych przepiórek. Zanikają cietrzewie i głuszce. Nawet królowi ptaków — orłowi zagraża fatalność. Wiemy zresztą o tem, że orzeł biały, którego wzięliśmy za godło narodu polskiego, jest ogromnie rzadkim okazem. To samo odnosi się do różnych gatunków zwierząt. Wiemy o tem, że żubrów pozostała już tylko niewielka ilość na świecie, że świstaki i górskie kozice musi się otaczać specjalną opieką, aby zupełnie nie wyginęły. Dzikie koty zaginęły prawie zupełnie, coraz rzadziej widuje się również tchórze, a borsuk należy do szeregu zwierząt prawie legendarnych.

Tylko z żonami.

W dalszem dążeniu do zeuropeizowania Turcji, rząd Kemal baszy zarządził, aby we wszystkich większych miastach tureckich wydawane były bale publiczne na cele dobroczynne. Ponieważ jednak przywykłe jeszcze do starych obyczajów małżonki tureckie mogłyby niechętnie uczestniczyć w tych zabawach, przeto nakazano, że mężczyznom żonatym wstęp na te bale dozwolony jest tylko z żonami.

Głos z nieba.

Na pomysł ten wpadli oczywiście Amerykanie. Publiczność, zebrana przed paru dniami w nowojorskim „Cirkus Columbus" miała możność wysłuchania arji, odśpiewanej przez słynnego barytona, Johna Thomas'a, na wysokości 1.500 metrów. Artysta wsiadł do samolotu i śpiewał do radjo-mikrofonu nadawczego, który, nie bacząc na silny wiatr, wiernie wszystkie dźwięki, ku zadowoleniu cyrkowych słuchaczy, powtarzał. Na seansie obecni byli przedstawiciele świata naukowego, zamierzający wyzyskać tę inowację dla celów wojskowych.

Wpływ cywilizacji na zdrowie.

Pan Arnold Sack, profesor uniwersytetu heidelberskiego, który zbadał przeszło 30.000 mumij egipskich najróżnorodniejszych epok, twierdzi, że cywilizacja wywarła zgubny wpływ na zdrowie człowieka. Uczony ten przekonał się, że jedynemi cierpieniami faraonów były rany, otrzymywane w bojach, choroby zaś pojawiły się dopiero w związku z postępami cywilizacji. Na nerki poczęto zapadać dopiero około 3.000-go roku przed N. Chr., gruźlica pojawiła się za panowania V-tej dynastji, zęby znajdowały się w doskonałym stanie aż do tego czasu, gdy kuchnia stała się wyszukana. Profesor Sack nie spotkał nigdy żadnych śladów chorób skórnych lub wenerycznych, jeden tylko ból dolegać musiał władcom Egiptu — podagra, na którą i dziś wielu ludzi gorzko się uskarża.

Olbrzymi apetyt.

W N. Yorku w ogrodzie zoologicznym żyje hipopotam, który zdaje się być najżarłoczniejszem zwierzęciem na świecie. Codziennie spożywa 150 angielskich funtów (1 funt angielski — 453.6 gramów) siana, 15 chlebów, 5 główi kapusty i 60 funtów słomy.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **Ks. Józef Piechowicz** w N.: List otrzymaliśmy, za zapewnienie życzliwości dziękujemy. — **Gabrjel Wirstnik** w Szcz.: Humor dobry — umieścimy. — **K. Rozwadowski** w T.: Szarady dobre. — **W. Stelmach** w Rz.: Zagadki w miarę miejsca pójdą. — **Kazimierz Urban** w W.: „Odnaleziona piosenka“ zupełnie dobra. — **Michał Koszarski** w D.: Owszem przyjmujemy. — **W. Ciepiela** w B.: Otrzymaliśmy dziękujemy. Żarty b. dobre, ale czyjego układu, Pan nie napisał. — **K. Morawski** w P.: Trudno nam dziś sprawdzić, kto miał słuszność: Pan, czy astronom. Zresztą rzecz to bagatelna. — **J. Węgiel** w C.: Wierszyk zupełnie dobry, ale czy własnego układu? — **Władysław Leszczyński** w P.: W „Tęsknocie“ znać talent, ale brak jeszcze należytego opracowania. — **Władysław Bulek** w O.: Otrzymaliśmy — pójdą powoli. — **Józef Kapuściński** w L.: O wiośnie i maju mamy już kilkadziesiąt wierszy, a nawet kilka z nich zupełnie dobrych. — **D. Lesiowski** w W.: Otrzymaliśmy — dzięki. — **Korneljusz Madzia** w H.: Okładki są zrobione już na wielkość numerów „Roli“, a ktoby chciał, aby introligator mu wszył, to może zrobić a przytem może i zrównać. Okadki są ładne, jaskrawe ze złoceniami. — **Jan Lichański** w P.: Numera wysyłamy pod adresem Miemczok Paweł w K. Gliwicka 18. — **Władysław Krupa** w S.: Numera wszystkim wysłaliśmy —dziękujemy a polecamy się nadal. Cześć! — **Józef Topolski** z P.: Dziękujemy — „Rolę“ pod wskazanymi adresami wysyłamy. Mamy nadzieję, że się rozwinie. Cześć! — **Władysław Przybyłowicz** w S.: Kupiliśmy. Pozdrawiamy. — **Władysław Sobol** w P.: Co do umieszczenia nadsyłanych prac, to nigdy terminu zgóry oznaczyć nie możemy. — **Karol Masłowski** w M.: Czyśmy list otrzymali, dziś nam trudno sprawdzić, gdyż korespondencja załatwiona idzie do kosza. — **Walek Kowalczyk** w K.: Wierszy mamy taką ilość, że wystarczyłyby one nam conajmniej na dwa lata. — **Jerychonka:** Czy to dokończenie poprzednio nadesłanej nowelki? O ile tak, to początek znalazł się w koszu, gdyż utworów, przesyłanych częściami, nie przechowujemy.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył ucz. kl. V. szk. XLVII w K.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Świt.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Choroba.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rolnik.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ryba.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zdarzenie w polityce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Przerwa.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Źródło ciepła.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Dopływ Wisły.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Wieś.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Wspaniały budynek.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miejscowość znana z życia
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Człowiek koczujący [Chr
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Znak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Mieszkanie duchów.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Duch.

Litery początkowe, czytane z góry na dół dadzą nazwę instytucji koniecznej w państwie cywilizowanem.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Stanisław Gradowski.)

Pierwsze i trzecie niezbędne w gościnie,
Drugich i trzecich niema na równinie,
Sama zaś pierwsza liczbę nam notuje.
Całości każdy rolnik potrzebuje.

II.

(Ułożył Jan Piwowoński).

Pierwszą w abecadle szukaj co masz siły,
Trzecia zaś zawsze przeczy czytelniku miły,
Drugą trzecią napewno z nas każdy posiada
I czy duże, czy małe — to moje powiada.
W pierwszej trzeciej jak wiecie dobre wi-
[no pili,
No i przytem zapewne dobrze się bawili.
Całość znajdziesz na polu, nad wodą, przy
[drodze,
Gdy na polu ich dużo, zły gospodarz sro-
[dze.

3. Zagadka.

(Ułożył Jan Czeluśniak z W.)

Kto mię lubi, ten się czubi,
Wspak czytany — kawał ściany.

4. Łamigłówka literowa.

(Ułożył Andrzej Rembiński z K.)

. e . y . ó . . a . ie . . a . a . a
. o . y . ó . . i . ie . . a . a . a.

Zamiast kropek wstawić spółgłoski, a otrzymamy znane przysłowie.

5. Uładanka.

(Ułożył W. Ciepiela z B.)

Ułożyć trzy wyrazy po trzy litery o znaczeniu 1· Rzeka w Rosji. 2) Skorupiak. 3) Zwierzę domowe.

Litery tych wyrazów tak poprzestawiać, aby dały nazwę umowy zawartej przez rząd polski.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 22 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 18 „Roli“: 1. Logogryf: Krzysztof Kolumb, Mikołaj Kopernik; 2. Szarady: Panika, Patulski; 3. Zagadki: Po, Ob; 4. Tajemniczy bilet:· Inspektor lasowy.

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązanie:

Kto odkrył Amerykę i wstrzymał bieg słońca
Tego ludzkość pamięta aż do świata końca
Choć dwa różne zawody zajmowali w świecię
Jeden pływał po morzu drugi po błękicie

Lecz wielkimi czynami imię swe wsławili
I na pamięć ludzkości wieczną zasłużyli.
Gorzej z resztą zagadek, bo nie w ciemię bity
Patulski ma na myśli wciąż ładne kobiety

Jeśli jednak się dowie jego żona Anna
Że mu myśli zaplątа jaka ładna panna
Weźmie się do pantofla, lub choćby trzewika
Z tego wkrótce gotowa wybuchnąć panika.

Pewno wtedy na myśli nie będą mu rzeki,
Lecz gdzie uciekać; do Włoch czy w Sybir daleki
Więcej pisać nie będę Redaktorze Panie,
Wiedząc, że mi nagroda już się nie dostanie.

Nakładu stu tysięcy życzę naszej „Roli“
Wydawca kamienicę zbuduje powoli
A redaktor za służbę gazetce ludowej
Także wtedy nie umrze od śmierci głodowej.

Stanisław Nowak.

Oprócz tego dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Stefan Reuss z K., Józef Kaizer z W. G., Władysław Gleń z M., Piotr Wenc z Ś., Jan Hurkała z Sz., W. Flis i T. Sroka z L., Karol Masłowski z M., Jan Maleć z U., Władysław Sobol z P., W. Ciepiela z B., Michał Koszarski z D., F. Popielarczyk z W. D., Korneljusz Mądzia z U., Jan Patulski z S., Władysław Maniewski z D., Jan Borkowski z D., Edward B. z K., Chłop z Grajowa, Gabrjel Wirstnik z Szcz., Edward Cygan z B., Jan J. Maj z N., Andrzej Sroka z N., Florjan Ciebiera z Rz.

Nagrody wylosowali pp.: Stanisław Nowak z K. i Jan Hurkała z Szcz.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu» w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Wilk syty i koza cała.

Dwaj żydzi z Tarnopola sprzykrzyli sobie monotonny koszerny żywot w tem mieście, więc wyjechali, aby użyć sobie i zabawić się do Wiednia. I tam, nie będąc znajomymi, bawią się, co się zowie, nie święcą szabatu, uczęszczają do różnych domów zabaw, jedzą wieprzowinę, jednem słowem strefnili się po uszy. Wkrótce po powrocie na tle wspólnych interesów pokłócili się i stali się zawziętymi wrogami.

— Czekaj ty paskidnik — woła w duszy Izydor Katz — ja ciebi pokażу! i biegnie cichaczem do rabina, gdzie wyjawia wszystkie grzechy przeciwnika.

Tak samo czyni żaperzony Szlome Afterduft, który klnąc tamtego słowami: — Di jatkierhind, ganef i chazer — wchodzi drugiemi drzwiami i obwinia za takie same przekroczenia Katza.

Rabin zaciera ręce, woła obydwóch do jednej izby i taki wydaje wyrok: Na kahał zapłaci każdy po 50 zł. nadto natychmiast się przeproszą a za pokutę każdy z nich ma trzy dni chodzić na grochu w butach.

Po takim wyroku miny im zrzedły i animusz wojowniczy opuścił. Wyjęli zatłuszczone portfele, zapłacili, w brody się na rozkaz pocałowali, lecz najgorsza była sprawa z chodzeniem na grochu.

Jakoż w trzecim dniu spotykają się obaj na ulicy i biedny Katz pokrzywiony, o dwóch kulach idący, niepomiernie się zdziwił że Szlome prosto chodzi i bez cierpienia na twarzy, przeto grozi mu palcem i powiada:

— Co ty może nie wykonujesz wyroku i nie chodzisz na grochu w butach. Ny! co to jest a ja nebech jestem już całkim tojt!

Na to ze śmiechem odpowiada Szlome:

— Nu! dlaczemu ja niemam chodzić na grochu? ja chodzę cały trzy dni... tylko od czego jest kepełe, jak ja tylko pirszy raz poczuł jak to boli, to ja kazał sobi moje Rebeke ten groch ugotować, aby były wilki syty i kozy cała.

W szkole.

Nauczyciel: — Powiedz mi, Puchała, dlaczego to drzewo nazywa się wierzbą płaczącą?

Puchała: — Dlatego, bo rośnie przy szkole i z niego pan profesor robi rózgi.

Co to jest cud.

— Panie profesorze, nie rozumiem co to jest cud?
— Czujesz, że cię drę za uszy?
— O dlaboga... czuję!
— No widzisz, to byłby cud, gdybyś nie czuł.

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli“ wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I-szego kwartału za 2 zł. 60 gr.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie.
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

Zawiadamiamy Sz. Czytelników, którzy mają z ich własnej winy numera „Roli“ poniszczone lub zagubione, że możemy im w miejsce takich przesłać nowe po nadesłaniu 25 groszy za egzemplarz i można przysyłać w listach znaczkami pocztowymi.

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, którеby mogły „Rolę“ zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Kalendarze już wyczerpane!

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja": Nr... nie otrzymałem i swój adres.